



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgar nie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TRESC: Nowy Ukaz. — Ruina drobnej własności II. p. Sm. — Z mojego pamiętnika. L. Börnego. — Cztery kongres literacki (w Wiedniu) p. M. — Trzeci kongres geograficzny (w Wenecyi) p. J. — Niewinne rojenia p. K. D. — Siedem zagadek świata p. E. — Teorya wychowania, oparta na historii, psychologii, moralności, polityce (podług Gabriela Compayré). II. p. Adolfa Dygasińskiego. — Piśmiennictwo Polskie: Szkice historyczne z życia żydów w Warszawie, skreślił Hilary Nussbaum, p. Wł. Smoleńskiego. — Malarstwo i rzeźba p. M. K. — Liberum veto. — W perspektywie p. P. — Tydzień polityczny p. T. — Wół Pytagorasa i prawda. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołączamy, jako bezpłatny dodatek, pierwszy zeszyt (ark. 1—6) dzieła Brandesa **Główne prądy literatury XIX w.** Dodatek też otrzymują wszyscy dotychczasowi abonenci; dla tego przesyłamy obecny numer **Prawdy** nawet tym, którzy przedpłaty na następny kwartał nie wnieśli.

NOWY UKAZ.

Przed kilku dniami ogłoszony został w *Praw. Wiestniku* Najwyższy Ukaz, „o środkach ochrony porządku państwowego i spokoju społecznego,“ unieważniający moc 21 poprzednio w tym celu wydanych rozporządzeń i określający nowe prawidła zapobiegania tak zwanym przestępstwom politycznym. Ukaz ogłasza w „położeniu wyjątkowem,“ t. j. „w stanie ochrony wzmocnionej“ następujące części państwa: gubernie: petersburską, moskiewską, charkowską, poławską, czernihowską, kijowską, wołyńską, podolską, chersońską i besarabską; powiaty: symferopolski, ewpatoryjski, jałtyński, teodozyjski, perekopski i miasta: Berdiańsk gubernii tauryckiej, Woroneż z powiatem, Rostow nad Donem i Mariupol, gubernii ekaterynosławskiej, wreszcie grodonaczalstwa: odeskie, taganrogskie i kercz-jenikalskoje. Jak widzimy, rząd zakreśla inne granice geograficzne niebezpieczeństwu niż te, które wytykał p. Katków, gdyż obejmuje północ, środek i południe państwa, a nie dotyka wschodu i zachodu, t. j. nas, którzy przecie mieliśmy być gniazdem sprzysiężeń. Obok przepi-

sów ogólnych, powierzających ministrowi spraw wewnętrznych główne kierownictwo i wskazujących mu drogę rozszerzania stanu wyjątkowego na inne, dotąd wyłączone miejscowości, ukaz rozpada się na cztery działy: pierwszy wyklada sposób postępowania władz przy „ochronie wzmocnionej,“ drugi — przy „ochronie nadzwyczajnej,“ trzeci — odnosi się do miejscowości, nieogłoszonych w „położeniu wyjątkowem,“ a ostatni do „wysyłki administracyjnej.“

Co do pierwszego, kierownikami działań są generał-gubernatorzy, a w braku ich gubernatorzy i naczelnicy miast (*gradonaczalniki*). Mają oni prawo: wydawać wszelkie rozporządzenia, zapobiegające naruszeniu bezpieczeństwa i spokoju publicznego; wyznaczać za przekroczenia tych rozporządzeń kary do wysokości trzechmiesięcznego aresztu lub 500 rs.; zakazywać wszelkich zgromadzeń ludowych (*narodnych*), społecznych a nawet prywatnych; zamykać zakłady przemysłowe i handlowe; wydalać osobistości podejrzane. Generał-gubernatorowie (lub ministrowie spr. wewn.) mogą oddawać pod sąd wojenny wszystkie tej natury sprawy i żądać sądenia ich przy drzwiach zamkniętych. Naturalnie organa wykonawcze winny pozostawać pod czujną kontrolą władz wyższych, policya zaś i żandarmerya mają moc aresztowania i dokonywania rewizji z wiedzą prokuratury.

Powyższe przepisy „ochrony wzmocnionej“ zachowują swą siłę i przy „nadzwyczajnej,“ zaopatrzonej nadto w następujące dopelnienia. Generał-gubernatorowie posiadają władzę nie tylko głównych naczelników kraju cywilnych, ale i wojskowych w czasie wojennym. Mogą oni: do zarządu pojedynczych miejscowości mianować osoby ze szczególnem pełnomocnictwem; tworzyć dla użytku policyi specjalne komendy wojskowe; wyłączać z ogólnej procedury pewne sprawy; nakładać sekwestr

na własność ruchomą i nieruchomą oraz na dochody; osadzać drogą administracyjną winnych w więzieniu do 3 miesięcy lub karać pieniężnie do 3,000 rs.; usuwać wszelkich urzędników, nawet z wyboru, aż do trzech pierwszych klas; nie dozwalać na zebrania wszelkich instytucyj miejskich oraz ziemskich i określać przedmioty ich narad; zawieszać wydawnictwa peryodyczne i zamykać na miesiąc szkoły.

Stan ten ma trwać rok, gdyby jednakże okazała się potrzeba (której uznanie należy do ministra spraw wewnętrznych), może być przedłużony nadal.

Jeżeli przepisy o „ochronie wzmocnionej“ i „nadzwyczajnej,“ jako nie dotyczące naszego kraju, mogą nas interesować tylko pośrednio lub jako możliwość znalezienia się w tej — mówiąc słowami ukazu — „smutnej konieczności,“ to znowu trzeci, właściwie czwarty jego dział, określający „przepisy dla miejscowości nieogłoszonych w położeniu wyjątkowem,“ posiada dla nas szczególną wagę. Prawo zastosowania do każdej miejscowości „ochrony wzmocnionej“ lub „nadzwyczajnej“ zależy od ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie generał-gubernatora, a wtedy wchodzi w życie wszystkie poprzednio zaznaczone przepisy. W każdym zaś wypadku miejscowi naczelnicy policyi i żandarmeryi mogą: osoby podejrzane o przestępstwa polityczne poddawać rewizji i aresztowi do wysokości siedmiu dni, zawiadomiwszy jednocześnie generał-gubernatora i prokuraturę. Minister zaś spraw wewnętrznych, łącznie z ministrem sprawiedliwości, decydują o wyłączeniu procesów z pod zwykłego sądownictwa i o przekazywaniu ich wojennemu. Położenie tedy miejscowości, nieogłoszonych w stanie wyjątkowym, różni się od pozostałych w tym stanie tylko pełnomocnictwem władz administracyjnych, które jednak każdej chwili mogą być opatrzone w prawo działania nieograniczonego.

Pozostaje ostatni ustęp ukazu o „wysyłce administracyjnej.“ Procedura jej następująca: odnośna władza miejscowa robi odpowiednie przedstawienie do ministra spraw wewnętrznych, przy którym ustanowiona jest osobna komisya, rozpatrująca tego rodzaju sprawy i rozstrzygająca je w ostatecznej instancyi.

Natura tego Ukazu, wywołana—jak sam prawodawca mówi — „smutną koniecznością,“ wywarła na opinii publicznej głębokie wrażenie. Upatrywano *nowy* krok wstecz. Nie sądzimy. Według naszego przekonania akt ten nie zawiera *nowych* obostrzeń, ale systematyzuje dawne, jest on tylko kodyfikacją poprzednich rozporządzeń, wydanych przeciwko przestępstwu politycznym. Unieważnienie owych 21 rozporządzeń nie wyraża wcale usunięcia ich łagodności; jeżeli na podstawie kilkudziesięciu różnymi czasy ogłoszonych i często sprzecznych ukazów wypracowano jeden, istnienie ich było zbyt cennym. Po ustanowieniu jenerał-gubernatorstw, po wprowadzeniu procedury wojennej do spraw politycznych, władze administracyjne posiadały już ten szeroki zakres pełnomocnictwa, który im przepisy z 16 września przyznają. Jenerał-gubernatorzy zarówno przedtem, jak i dziś mieli prawo wydawać rozporządzenia, aresztować, więzić, polecać dokonywanie rewizyi i wysyłać drogą administracyjną. W gruncie rzeczy zatem nie się nie zmieniło prócz formuły prawa, rozdrobnionego dotąd, zwartego w jedną całość dzisiaj. Sam Ukaz zresztą wyraźnie mówi: „przejrzawszy łącznie wszystkie prawa czasowe, wydane w latach ostatnich, uznaliśmy za dobre rozkazać zastąpić je przez osobną Ustawę (*Położenie*), w którejby wskazane były z większą niż dotąd ścisłością z jednej strony granice pełnomocnictwa władz administracyjnych w okolicznościach nadzwyczajnych, a z drugiej—istota obowiązków, włożonych na ludność przez wyjątkowe warunki życia państwowego.“ Nie pojmujemy też głębokiego oddechu *Nowosti*, które z „łżejszem sercem“ teraz dopiero wiedzą czego się trzymać i co czynić należy. O tem było dawno wszystkim wiadomo.

Inne gazety rosyjskie wyrażają pogląd przez nas wypowiedziany, mianowicie, że ostatni ukaz jest kodyfikacją praw wyjątkowych przeciw przestępcom politycznym. Niektóre tylko, wiecznie zajęte wynajdywaniem nowych epok w życiu Rosyi, przędą pajęczynę śmiesznych mędrkowań, ulatujących z wiatrem pustych słów i przesypujących jedynie kupki dziennikarskiego piasku. Sztuki tej nauczył prasę rosyjską wynalazczy *Golos*, który, gdyby żył dzisiaj, z pewnością zadziwiłby świat przy tej sposobności jednym z swych sławnych sofistycznych wynalazków. *Poriadok* pociesza się myślą, że prawo wyjątkowe trwać będzie tylko rok, poczem zwykły bieg rzeczy powróci do swej kolei. Nie życzymy, ale sądzimy, że to pociecha bardzo wątpliwa. Wprawdzie żywioły rewolucyjne są dziś w Rosyi bardzo osłabione, jeżeli wszakże rząd widzi w nich tyle niebezpieczeństwa, że przedsięwzięcie tak surowe środki, w ciągu jednego roku celu nie osiągnie. Można więc z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że po upływie terminu minister spraw wewn. skorzysta z § 12 i przedłuży trwanie zarówno „wzmocnionej“ jak i „nadzwyczajnej ochrony.“ Wobec takiego przypuszczenia pozostaje nam, polakom, pragnąć jedynie, ażeby burza, która zawisła nad znaczną częścią Cesarstwa, ominęła jak dotąd szczęśliwie naszą ziemię.

Objasniliśmy zasady nowego Ukazu—sądzenie ich, jak czytelnikowi wiadomo, nie jest naszym przywilejem.

RUINA DROBNEJ WŁASNOŚCI.

II.

Liczba 100,000 mórg ziemi, wcielonych pomiędzy r. 1823 a 1880 w skład posiadłości folwarcznej, konstatuje *jedynie* smutny pod względem ekonomicznym fakt upadku drobnej własności. Mówimy *jedynie*, albowiem po za względami ekonomicznymi kry-

je się sprawa polskiej narodowości w księstwie poznańskim, sprawa w ścisłym z upadkiem drobnej własności będąca związku. Jeżeli z stanowiska ekonomicznego fakt wcielenia 100,000 mórg ziemi w skład posiadłości folwarcznej dostatecznie mówi sam za się; to dla sprawy narodowości polskiej w księstwie poznańskim ważnem jest bardzo: 1) pochodzenie właścicieli dominiów, którzy nabyli gospodarstwa włościańskie; 2) wykazanie liczby gospodarstw, istniejących dotychczas, lecz przeszłych z rąk polskich w niemieckie. Urzędowa statystyka pruska w wykazach swoich nie uwzględnia tej kwestyi: pomija takową niewątpliwie dla tego, żeby przez ujawnienie przerażającego w księstwie poznańskim upadku sił polskich nie dzwonić na alarm i w obywatelach, przyszłość rodzimego żywiołu mających na sercu, nie budzić czujności. Za to inicjatywa prywatna polska przerażające gromadzi dane.

Według p. Józefa Czapli, autora napisanej dla ludu i świeżo ogłoszonej w Toruniu broszury: *Przyczyny naszego upadku oraz środki zaradcze*, w powiecie inowrocławskim stracili włościanie polscy przez ostatnie lat dziesięć $\frac{1}{5}$ posiadłości, t. j. 10,000 mórg ziemi, a nabywcami byli przeważnie Niemcy i Żydzi. I nie dość na tem: hipoteki włościan obciąża moc długów. Wzorowo uprawne grunta, piękny inwentarz i okazałe budynki, — wszystko to w znacznej części do wierzycieli należy i przejdzie wkrótce w ręce niemieckie. Stan gospodarstw w księstwie poznańskim, powiada p. Czapla, podobny jest do robactwem roztoczonego grzyba: po wierzchu wygląda czerstwo, we wnętrzu mieści zgniliznę.

Rzecz to szczególna, że na drobnych majątkach w księstwie poznańskim bankrutują wyłącznie rodziny polskie. W powiatach niemieckich, w tych samych warunkach mniej stosunkowo ginie gospodarstw, w niektórych nawet liczba drobnej własności kosztem rozparcelowanych folwarków powiększyła się znacznie. Czemuż przypisać, że, gdy kolonista niemiecki z gospodarstwa wyrugować się nie da i dorabia się grosza, włościanin polski wychodzi z niego

1)

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

I.

Frankfurt, 29 kwietnia 1830.

Nie myślałem, żebyś cię kiedy zobaczył, ty głupiutka, biała książeczko. Otóż jestem i znów rozmawiam z tobą o starych i nowych dziejach; słuchasz mię cierpliwie i przyznajesz mi słuszność jak zawsze.

Być słabym, więzionym, jęczeć w kajdanach, znosić wszystko cierpliwie, póki tyran się nie zmęczy! Nie. Mężczyzna honoru powinien wstydzić się być słabym dłużej nad cztery tygodnie. A ja nim byłem rok przeszło. Jakże kochamy życie, które nas tak mało kocha, i które nakształt oswobodzonego dzikiego zwierza zapomina o swym

panu i ucieka na wolność, skoro znajdzie otwartą klatkę!

I cóż przytem zyskujemy? Późne cierpienia nie odświeżają już naszej duszy. To nie burza, gasząca pragnienie wrzącej młodości natury — to wiatr jesienny, który resztki zieloności drzew zrywa i smutnie rzeży i jęczy, jak pierś umierającego — a zwiędłe wspomnienia rozpraszają się w tym wichrze.

Niegdyś w piękniejszych latach... zbliżyłem się do róży i zraniłem się głęboko jej kolcami — wówczas choroba ocaliła moją duszę. A gdy powstałem, i natura wyzdrowiała. Stopniał już śnieg i mój ból igniew. Przebaczyłem wszystko, zapomniałem o wszystkim. Pierś moja była otwartą, jak przedsionek kolumnowej, starożytnej świątyni i wietrzyk wiosenny rozpyływał się we mnie, jak ja w nim. A teraz! Wyzdrowienie i wiosna znów się spotkały, ale co za odmiana! Jestem tylko trochę swobodniejszy, bo załatwiłem niemłą sprawę.

Czyż to są zielone drzewa? Jest-że to błękit niebios? Uroczy zachód słońca? Ach tak, wszystko ładnie malowane, bardzo nawet podobne; widziałem oryginał.

Dawniej słowik był dla mnie różą po-

wietrza; upajałem się wonią jego tonów, a ostre cienie raniły zachwyczone ucho. Teraz tylko jego jeszcze słucham z prawdziwym zadowoleniem. Piękne dary wiosny jaśniały cudownie przedemną; jak dziecię nie umiałem się zdecydować, czego najpierw użyć, co najpierw wziąć. Ociagałem się z życzeniem. Tam gaj, tu dolina, w dali góry i młyn i szmer wodospadu? Teraz mogę namyślać się i wybierać.

Wiosna, słowik, jutrenka, miłośne spojrzenie — to nic. Młodość jest wszystkim. Świat jest zwierciadłem — co w nie spojrzysz, z niego wyjrzy. To tylko oddaje, cośmy mu pożyczili, nie dziękuje nawet promieniami lichych odsetek. Gdyby można to zwierciadło nawskroś przejrzeć, gdyby można szak światła zetrzeć! Świat leży po za życiem; lecz gdzie koniec życia? Świat jest niczem.

Młodość — słowo to ciemne. My starzy, mądrzy ludzi wymawiamy je i nie rozumiemy. Sen z zeszłego tygodnia jest dla nas jawniejszym. I dobrze, że tak jest; dobrze, że w późnym wieku zapominamy o młodości, inaczej bowiem byłoby źle, powstałyby wątpliwości, któreby nas na śmierć zamęczyły.

z torbą i kijem? Dla czego, pyta autor broszury, tylko synowie niemieckich kolonistów i mieszczan wychodzą na zdolnych rzemieślników, fabrykantów, techników, maszynistów, urzędników, lekarzy, profesorów i kupców? dla czego nie jeden intruz, który na kieliszku, cackach i figlach rozpoczął dorobek, na starość osiadł na trzosi, wy kierował synów na ludzi, wyposażył i wydał córki korzystnie za mąż? Dla czego z drugiej znów strony rodziny polskie, chociaż same do roboty się kwapią i dzieci napędzają do pracy, podlegają bankructwu? Dla czego synowie gospodarzy lub mieszczan, przed laty jeszcze dwudziestu zamożnych, przy drogach żelaznych szukają dzisiaj zajęcia z motyką i szpadlem, tłuką na szosach kamienie, przy budowlach pomagają rozrabiać glinę lub też niemieckim przedsiębiorcom i majstrom podają cegłę?...

Przyczynę ruiny materialnej ludności polskiej znajduje p. Czapla w upadku moralnym.

Na własnym osiadłszy gruncie, zachorował włościanin na pana: po pańsku poczęł próżnować i szczekać kieliszkiem. Próżniactwu i opilstwu przybiegli na pomoc usłużni spekulanci, chętnie na czystych hipotekach lokujący gotówkę. Rozpróżniaczony i rozpiły gospodarz o wychowanie dzieci dbał mało. Posługiwał się niemi, lecz wtajemniczać w interesa swoje ich nie chciał; nieprzezornym i nieprzywykłym do samodzielnego działania obdłużony zostawiał majątek z masą procesowych papierów i pozwów. Zamiast w kłopotcie szukać ratunku u swoich, polegał zawsze włościanin na radach Niemca i Żyda, — w ich tylko uwierzył rozum, za nic nieważąc zdania sąsiadów, braci lub krewnych. Kobieta znowu jest lalką: wiele o wartości swojej rozumie, a o gospodarstwo dba mało i dla męża prawdziwy stanowi ciężar. Przy swatach rola rostrzyga wszystko, z powodu czego dzieci ojcowiznę dzielą na części: synowie, żeby zamożne pojąć małżonki; córki, żeby bogato wyjść za mąż. W rodzinie panują kłótnie i spory; w stosunkach z sąsiadami mactactwa, brak solidarności i krzyżująca nie-

słowność. Zaprowadzanie niestosownych melioracji i dźwiganie przez naśladownictwo zbyt kosztownych budowli w związku z okolicznościami, wymienionemi powyżej, sprowadzają właśnie ową ruinę.

Następstwa błędów, leżących w charakterze włościan, potęgują jeszcze okoliczności zewnętrzne, albowiem materialne podkopanie żywiołów miejscowych na korzyść przybłędów z nad Sprei; obrócenie ludności polskiej na wyrobników, do niemieckiej wprzężonych taczki, dla rządu pruskiego pożądanem jest bardzo. Czyż prawo z r. 1823 wytknęło sobie cel inny?

W r. 1840, t. j. w chwili, gdy organizacja stosunków włościańskich ukończoną prawie została zupełnie, liczba gospodarzy uregulowanych wyniosła 23,750. Licząc $4\frac{1}{2}$ głowy na rodzinę gospodarza, wypadnie, że na 1,364,000 ogólnej liczby mieszkańców w księstwie poznańskim, zyskało na regulacji jedynie 106,875 osób, co nie wynosi $\frac{1}{12}$ całej ludności. Po odrzuceniu mieszkańców miast, fabrykantów, rękodzielników, szlachty i żydów, jeszcze przeszło $\frac{2}{3}$ całej ludności przypadnie na klasę wieśniaczą, pozbawioną własności i żyjącą wyłącznie z wyrobku. W owe $\frac{2}{3}$, dla braku opieki ze strony rządu, wsiąka powoli i 23,750 rodzin włościańskich, w r. 1840 mających własność. Znaczna liczba ich gospodarstw już znikła; ku wielkiej radości rządu przepadnie wkrótce i reszta.

Sm.

CZWARTY KONGRES LITERACKI

(w Wiedniu).

Czytelnik zapewne bez skrupułu uwolni nas od opisu zabaw i wycieczek uczestników literackiego kongresu, które dla nich tylko posiadały ważność. Nie polykając więc zdaleka słinek na myśl obiadu, urządzanego przez „Concordię“, która ugaszczala głównie „czoło narodów“, przejdźmy do poważnej strony zjazdu.

Jeżeli za sto lat potomność dowie się, że grono ludzi, obowiązanych do posiadania rozumu, zwłoczyło się z różnych kątów Europy do Paryża, Londynu, Lizbony, Wiednia po to tylko, ażeby sobie powiedzieć corocznie, że „własność literacka, jak każda inna, musi być zabezpieczoną“, to doprawdy westchnie nad zbytkiem naszego czasu i niedostatkiem naszego rozsądku. Czwarty już „kongres literacki“ zaprzęta uwagę ogólną swemi obradami i po raz czwarty nie może się zdobyć na nic innego, tylko na życzenie ubezpieczenia własności literackiej. Czyż to nie prawdziwa galerya Jowialskich? I gdyby przynajmniej w tych „kongresach“ uczestniczyli ludzie, z których cały świat żyje i cały świat okrada; ale, jak na ironię, najwięcej hałasują pisarze, którzy albo korzystają z innych, albo nikt z nich nie korzysta. Bo obojętne nasze przedstawicielstwo. Jednego posła nikt dotąd nie obrabował a wielu posadzało o pożyczki zaciągane u francuzów; nadto ów p. poseł jest redaktorem pisma, które przedrukowywa (*Gazeta Lwowska*, *Lam*) bez ceremonii nawet autorów swoich. Drugi deputat jest komedypisarzem, któremu jednogłośnie przyznano tylko zręczność artystycznego kompilatora; trzeci napisał zaledwie kilka fraszek, a czwarty — nic. Pozostaje więc jedyny bogacz — Kraszewski, którego także o ile wiemy, żadna obca literatura nie okradła. I ci ludzie, nadto obywatele kraju, którego ubogie piśmiennictwo przy jakiegokolwiek konwencji popadłoby w nędzę, włączają się po kongresach dla gardłowania, przepraszam — milczącego pomagania ubezpieczeniu własności literackiej. Niedosć na tem. Ci sami nasi posłowie obcałowują publicznie każdego cudzoziemca, który raczy przetłumaczyć (bez poszanowania własności literackiej) utwór już nie p. Zalewskiego lub Szymanowskiego, ale nawet Mickiewicza lub Słowackiego. Wszyscy pamiętamy, jakie to kadzidło z naszej prasy owiało p. Miena lub Weissa za to, że złoto naszych geniuszów przebili na niemiecką monetę. To też napróżno z tego fałszywego położenia chciał sofizmatem wy-

Do jakiego wieku przeznaczają nas urodzenie? do jakiego się kształcimy? do jakiego wychowujemy nasze dzieci? Pomyśleliśmy o tem kiedykolwiek? Wątpię. Do wszelkich! Tak powinno być, ale tak nie jest. Chłopiec staje się ofiarą młodzieńca, młodzieniec — mężczyzny, mężczyzna — starca. A gdy starzec zechce na koniec użyć swobody, która aż nadto dojrzała, i żyć dla życia, przychodzi religia i mówi: O nie tak! stary młodzieńcze, nie dość szkoły, życie przychodzi dopiero po śmierci, trumna jest kołyską twojej wolności. *Religia?* Nie kłammy i udawajmy. To mówi kościół, ten awanturnik, krążący po świecie pod setkami nazwisk i postaci i który okłamuje łatwowiernych, że dwa królestwa, jedno na górze, wypłacające przyjaściom, którzy mu pożyczili pieniędzy, a drugie na dole, karzące tych, którzy mu z nieufnością odmówili kredytu.

Po co mamy czyste złoto lat młodych wypływać bladej, niepewnej starości, przyrzekającej znaczne odsetki, gdyż drwi sobie ze wszystkich rewersów i nie lęka się bankructwa?

Nieustannie żyjemy tylko dla przyszłości — ciągle strojenie, a koncert nigdy się

nie rozpoczyna. Weksel sypa się nowym wekslem — bezprzykładne lotrowstwo. Odsetki zwiększają kapitał — a głupcy, do których gotówka życia nigdy się nie uśmiechała, uważają się za bogatych, gdy balon ich nadziei dość wysoko wzlatuje. I jakże koniec? Mój Boże, bywasz przecież dobrym, przemów raz, nie bądź milczącym jak dyplomata, powiedz nam jaki koniec.

Możecie to przeczytać wydrukowane: ze wszystkich rodzących się ludzi połowa umiera w wieku dziecięcym, mniej niż połowa sięga lat młodzieńczych, zaledwie trzecia część dochodzi do roku pięćdziesiątego, wieku, w którym rozpoczynają się zbiory z naszych prac, trudów i kłopotów — a więc dla dobra tej małej trzeciej części poświęca się dobro dwu wielkich trzecich! Do młodych należy świat, starzy w nim gospodarzą, używają go i panują. Rodzice, szkoły, wychowanie, państwo, wszyscy troszczą się o starców, młodzież jest skazana na służbę starości!

Starzy, mądrzy ludzie mówią o namietnościach młodego wieku i o swem własnym, doskonałym doświadczeniu; lecz namietność, właściwa każdemu wiekowi, jest jego rozumem. W każdym wieku uważamy się za rozumnych, a na rozum minio-

nego wieku patrzymy jak na namietność. Doświadczenie czyni nas niespokojnymi, nieszczęśliwymi, gdyż uczy wyjątku z reguły. Dla poznania reguły nie trzeba doświadczenia, nauczyciel książka i własne serce. Tylko niedoświadczony ma słuszość, tylko on jest szczęśliwym. Dlatego wierzcie młodości; w co ona młodość wierzy, to jest wiecznem, wasza mądrość zniknie. I przyroda w swych prawach ludzkich nie jest ani rozsądniejszą ani sprawiedliwszą od człowieka w jego wolności. Nie bola mnie niespełnione życzenia moich biednych braci, lecz smuci mnie to, że spełniają się one wtedy, gdy chęć, która je wywołała, dawno już pogrzebana.

Dziecię pragnęłoby pobiegać: musi w szkole siedzieć i uczyć się łaciny. Młodzieniec zamiast użyć świeżego powietrza: oto siedzi w pokoju przy cieniu swej kochanki i wdycha. Dopóki pragniemy podróżować, nie mamy pieniędzy; gdy je mamy, postarzeliliśmy się, lubimy spokój i wygodę, grywamy w bostona a nasza resursa bardziej nas nęci, aniżeli Rzym lub Neapol. Potem przychodzi przyjaściółki naszych siostrzenic, nadskakują i umizgają się do kochania wujaszka, bez litości depczą jego podgryzione nogi i przeszkadzają w śnie po-

dobyć siebie i swoich malutkich towarzyszy Kraszewski. „Mam zaszczyt należeć do narodu — rzekł on — który z powodu swego języka istanowiska najmniej zyskuje na uznaniu własności literackiej. Jako polak więc nie jestem w tej sprawie wcale interesowanym. Ale jako człowiek i jako polak przyjmuję udział w tych pracach, które mają prowadzić do tego celu a dążą do pojednania i sprawiedliwości.“ Słowa te przypomniały nam dowodzenie koła polskiego w tymże Wiedniu podczas obrad sejmiku nad podatkiem od dzienników. I wtedy posłowie galicyjscy mówili: jako polacy tracimy na tym podatku kilkadziesiąt tysięcy guldenów rocznie, ale jako wspaniałomyślni przyjaciele skarbu austriackiego musimy go popierać. Sława wspaniałomyślności przebrzmiała bez trwałego echa, a tymczasem prasa galicyjska jęczy pod brzemieniem stempla. Podobnie byłoby w literaturze, gdyby tylokrotnie objawione a na szczęście niespełnione życzenia „kongresu literackiego“ zyskały moc praw obowiązujących. Jeżeli prawa takie przyniosłyby tylko szkodę literaturze naszej a dogadzają jedynie interesom Niemców, Anglików i Francuzów, po licha my tak gorliwie dla nich pracujemy? Idzie nam o „bezwzględną sprawiedliwość?“ Uspokójmy sumienie nasze przekonaniem, że owej sprawiedliwości stanie się zadość nawet bez konwencji, ubezpieczających własność literacką, że owi Niemcy i Francuzi dość nam są winni z innych tytułów, ażebyśmy tą należnością pokryć mogli długi u ich literatury zaciągnięte. Bo długi to zresztą niewielkie. Jakkolwiek piśmiennictwo nasze zużywa dość tłumaczeń, skromny jego zakres nie pozwala na robienie wielkich uszczerbków literackich autorom zagranicznym. Ci zaś, którzy z zupełnym pominięciem interesów własnego kraju, pracują dla obcych, odstąpią bardzo łatwo od swych „przekonań“, jeśli tylko stracą urzędy w stowarzyszeniu literackim, które im rozpina niepotrzebnie pawie ogony. Niech tylko gadatliwy p. J. Lermine przestanie nadymać p. Szymanowskiego godnością przedstawicielstwa literatury polskiej, przez nas mu nienadana, a niezawodnie redaktor

Kuryera Warszawskiego porzuci myśl o ubezpieczeniu własności literackiej... Niemców, Francuzów i Anglików.

Błędnie zrozumiałby myśl naszą czytelnik, gdyby nas posadziło zamiar wyjęcia tej własności z pod wszelkich praw. Bynajmniej, o to nam nie idzie. Sądzymy tylko, że: 1) własność literacka z natury swojej nie da się tak ubezpieczyć „jak każda inna;“ 2) sprawa tłumaczeń (która tu gra najważniejszą rolę) nie może obciążać jednako wszystkich narodów, których warunki istnienia i siły są bardzo odmienne; 3) idea najściślej sprawiedliwości zobowiązuje możniejszych do wspierania uboższych; 4) interesu oświaty całych społeczeństw nie należy podporządkowywać interesowi materialnemu jednostek. O tem wszystkim nasi samozwańcy poselscy zupełnie zapominają. Zapominają o tem, że jeżeli „bezwzględna sprawiedliwość“ pozwoliła Niemcom zagarnąć ziemię i wydzieńczyć z środków cywilizacyjnych ludy słowiańskie, to niechże teraz pozwoli tym ludom korzystać bezpłatnie z literatury niemieckiej. Napoleon rozrzucał kości polskie po całym świecie i wysysał z nas ostatnie soki kontrybucjami, a my dziś nie możemy za to nawet tłumaczyć darmo francuskich romansów! Gdyby Kraszewski „jako człowiek“ w chwili swej mowy pamiętał o pogwałconych prawach ludzkich swych rodaków w Prusach, nie ujmowałby się tak za prawami literatów niemieckich nawet u nas. Innemi słowy: gdyby owa „bezwzględna sprawiedliwość“, na którą mówcy kongresu tak często się powołują, uporządkowała już wszystkie stosunki i miała do uregulowania tylko literackie, pojmovalibyśmy te wspaniałomyślne ofiary na jej ołtarzu; ale dziś, gdy siła gospodaruje bezkarnie we wszystkich dziedzinach życia, chcąc szepnąć idealne sentymenty w jednej, która najmniej od rabunku cierpi — doprawdy zabawne. Nie dziwi nas też wcale, że oprócz kilku imion głośniejszych, lista uczestników kongresu literackiego zapełnia się ciągle bardzo podrzędnej miary imionami, których znaczenia w świecie najszczegółowsza encyklopedia odgadnąć nie umie.

Nie zajmujemy się dalszymi szczegółami tej szopki, bo sądzymy, że ona zakończy swe przedstawienie, gdy dostrzeże, że światu naprzykrzyły się literackie zapusty. Jednocześnie obradujący w Wiedniu zjazd autorów niemieckich, którzy myślą tylko o własnym piśmiennictwie, daje wszechświatowym jasełkom przestrozę, czem ich reżyserowie zając się powinni — swoją glebą. Uszczęśliwianie ludzkości niech odłożą na później, bo dziś posiadają tyle tylko na to środków, ile kosztuje bilet kolei z Warszawy do Wiednia lub Paryża.

M.

TRZECI KONGRES GEOGRAFICZNY (w Wenecyi).

„Kongresy przynoszą tę korzyść, że rozwijają stosunki między ludźmi jednej specjalności, pozwalając im rozstrząsać sprawy ogólnie interesujące, oceniać drogę przebieżoną i przyspieszać postęp. Ich użyteczność wszakże jest jeszcze inną: kongres może mówić głośno; ma on głos dosyć silny, ażeby go usłyszano wszędzie.“

Temi słowy, na trzecim zjeździe geograficznym, określił znaczenie tego rodzaju zjazdów słynny Lesseps. I przyznać trzeba tej uwadze wielką trafność. Gdy nawet kongres naukowy nie jest czezą komedią i paradą, jaką często bywa, nie rodzi on dla wiedzy nic, prócz... silnych pobudek. Mówi głośno — w tem cała jego zasługa. Uczni, zbierający się uroczystość na obrady, nie przywożą i nie odsłaniają światu żadnych w tajemnicy trzymanych wielkich odkryć, nie odczytują znakomitych, na tę chwilę przeznaczonych prac, połączeni nie wydobywają z siebie cudów, gdyż w czasach druku, elektryczności, oraz instytucji naukowych, posiadają dość środków szerokiego ujawnienia swych badań. A jednakże zebrani razem przynoszą wielkich znaczną korzyść swoją — jak mówi Lesseps — głośnością. Rzeczywiście, czy ogół wiedziałby, albo raczej, czy chciałby wiedzieć o badaniu Afryki Środkowej, o de la Roncierze, nawet o księciu Teanie, gdyby szumne zapowiedzi nie głosiły przez rok o wielkim zjeździe w Wenecyi, gdyby nie przybyła na tę uroczystość królewska para i gdyby kościoła św. Marka nie oblewa-

obiednim. Dyabelskie dzieci! Czemuż nie przychodziłyście przed trzydziestu laty, gdy wujaszek był kuzynkiem, po obiedzie nie sypiał, lecz pił i podagry nie miał. Nie śmiejecie się! nie śmiejecie! I ja mam kuzynów, ci się pomszczą za mnie!

Gdy byłem chłopcem, miałem jedno życie, tak gorące, jak żadne potem. Wiedziałem u innego chłopca maluską szabelkę, służącą do czyszczenia fajki. Z tego powodu całą noc nie spałem. Obecnie mógłbym sobie kupić cały tuzin takich szabel, lecz ich nie pragnę; dziś mogłyby leżeć u nóg moich, a nie schyliłbym się po nie. Teraz inne mam pragnienie i prawie szaleję, gdy pomyślę, że później może wszystkie te rzeczy otrzymam, gdy mi zobowiązuję.

Robert, czyli mężczyzna jakim być powinien, naraził mnie na policzek od nauczyciela, który dziś jeszcze czuję. Tego Roberta postawiłem sobie za wzór; chciałem również zostać lekarzem, bezpłatnie leczącym, lecz jeszcze bardziej cnotliwym. Z powodu *Klary du Plessis i Clairant'a* zapomniałem o tłumaczeniu w Döring i musiałem pójść na ośłą ławkę, a nad *cierpieniami rodziny*

Hardenberg więcej płakałem, aniżeli później nad własnymi. Ach! od tego czasu nie miałem tak wielkiej troski, którą mój chleb łzami skropił, jak wówczas, gdy, czytając, jadł jabłko, które mi policzek z ręki wytrącił. A teraz! czy jestem tak szczęśliwy, by mię kto policzkował, gdy czytam i kocham? Któż mi przeszkodził? Ale cicho — przyrzekam, mój dobry Lafontaine, nigdy, nigdy ciebie nie krytykować.

III).

Frankfurt, 1 maja.

Czytam w gazetach, że Prudhomme, najstarszy z dziennikarzy francuskich zmarł. Znałem tego człowieka, często go nawet odwiedzałem. Mówił wiele; mniej jednak dawałem baczenia na słowa jego, a więcej na jego twarz, surową i zimną, jak kamień grobowy, w której można było odczytać zatarty napis: *umarł w r. 1794*. W początkach rewolucji redagował naj-

bardziej rozechwytywane piśmko: *L'ami du peuple*, które w niebezpiecznej ósemce mieściło najstraszniejsze zdania. Rozsprzedawano, jak mi opowiadał, czterdzieści tysięcy egzemplarzy. Gdy Prudhomme opowiadał o tych czasach, kiedy to i wolność młoda była i on człowiekiem w sile wieku, pałało jego wytłone oko, a głos złamany nabierał wyrazu i siły. Gdy natomiast rozprawał o późniejszych lub obecnych czasach, mówił powoli, jakby zniechęcony lub spiący, tak iż nieznośnym było go słuchać. Nie mógł pojąć wolności monarchii konstytucyjnej, był najskromniejszym republikaninem. Absolutyzm republikański o wiele jest niebezpieczniejszy niż monarchiczny; tego bowiem można uniknąć spokojem i posłuszeństwem, pierwszego nieczem, bo spokój, cnota poddanego, jest przestępstwem wolnego obywatela. Republikanizm natomiast prędzej przebacza niż monarchizm; on bowiem za szal uważa to, co monarchizm za świadome przekroczenie. Francuzi po długiej podróży przez gorące i puste wieki przybyli nad dzikie morze wolności. Spragnieni, z rozgrzaną krwią rzucili się do wody — pili, chorowali i tonęli.

1) Ustęp drugi, jako zbyt zmniejszony pomijamy.

to przez kilka dni światło elektryczne? Dzięki tym dekoracyom nauki, dzięki jej fantastycznej wystawie i kulisom, świat zwrócił uwagę na grono badaczy, posłuchał i zapamiętał z ich obrad kilka wiadomości a wreszcie uczuł może pobudkę do jakiegoś współpracownictwa na korzyść poznania ziemi i ludów. Naukę szepczącą w gabinetach największe prawdy słyszą tylko specjaliści, ale naukę, która wjeżdża do miasta wśród chorągwi i tłumów, która doznaje uroczystych przyjęć, pływa gondolami przy czarodziejskiej iluminacji — słyszą, bo widzą wszyscy.

Jest to więc pierwsza korzyść kongresu geograficznego, który 15 września rozpoczął a niedawno zakończył swe posiedzenia w Wenecji.

Naturalnie rezultat ten, chociaż ważny, sam przez się byłby niewystarczającym. Zgromadzenie uczonych musiało zostawić po sobie ślad naukowy — w zamierzonych przedsięwzięciach, w podniesionych lub rozstrzygniętych zagadnieniach, w wypowiedzianych życzeniach, gdyż czegoś więcej od podobnych, bądź co bądź czysto formalnych aktów, żądać trudno. Nie znając jeszcze protokółów kongresu, nie możemy nawet w głównych zarysach podać jego rozpraw, równocześnie prowadzonych przez sekcje, na które zjazd się rozłamał. Sekcyj tych było osiem: 1) geografia matematyczna, geodezyja, topografia; 2) hydrografia, geografia morska; 3) geografia fizyczna, meteorologia, geologia, botanika, zoologia; 4) geografia antropologiczna; 5) geografia historyczna, historia geografii; 6) metodologia, nauczanie i rozpowszechnianie geografii; 7) poszukiwania i podróże geograficzne. Co w każdym z tych działów mówiono, będzie można wiedzieć dopiero po ogłoszeniu szczegółowych sprawozdań; to zaś, co prawiono na posiedzeniach połączonych grup, nie wyjmując przemowy Lessepsa, sławiącego zasługi Włochów w geografii, słabo przekraczało granice zwykłej w takich uroczystościach etykiety. Jeden szczegół wszakże zasługuje na podniesienie. Między innemi, kongres wyraził życzenie, ażeby towarzystwa naukowe zajęły się wydaniem słowników geograficznych. Żałujemy mocno, że nikt się nie znalazł, ktoby uwiadomił kongres, że nie żadne towarzystwo naukowe, ale jeden człowiek w Polsce podjął i uskutecznia, o ile jednostkowymi siłami można szczęśliwie, olbrzymie wydawnictwo słownika geograficznego. P. Sulimierskiemu należała się ta skromna nagroda za trud, który go ozdobił trwałą zasługą. Lesseps w przemówieniu swoim położył szczególny na-

cisk na udział sił prywatnych w wielkich przedsięwzięciach geograficznych, przytaczając z własnego doświadczenia wymowne przykłady. „Niech nasz kongres — rzekł — zwróci się do inicjatywy prywatnej, niech jej powie, że nie dosyć przyklaskiwać powodzeniu lub oplakiwać straty badaczy, że należy ich podtrzymywać, towarzyszyć im troskliwie, dodawać im odwagi, dostarczać środków, umożliwiających tryumf.“ Nie jesteśmy powołani do tego, żeby przekopywać między morza lub przygotowywać podbiegunowe wyprawy; ale jedno z zadań w naszym skromnym zakresie, mianowicie wydanie słownika geograficznego własnej ziemi, spełniliśmy, dzięki inicjatywie prywatnej.

Realnym podkładem obrad kongresu była wystawa geograficzna, w której wszystkie narody popisały się swemi zdobyczami.

J.

NIEWINNE ROJENIA.

Książę Aleksander Drucki-Lubecki pod tytułem *Quelques idées sur une réorganisation administrative* (Petersburg 1881) podał dwa projekty reformy administracyjnej, niepozostające z sobą w żadnym organicznym związku istanowiące dwie, zupełnie odrębne, całości. Jeden z nich dotyczy administracji ogólnej, drugi — wojskowości, czyli, właściwie mówiąc, sposobu odbywania przez poddanych państwa powinności wojskowej.

Nad drugą częścią rozprawy, jakkolwiek oryginalniejszą, niż pierwsza, nie będę dłużej się zastanawiał; wymagałoby to bowiem zbyt obszernych teoretycznych wywodów. Myśl do reorganizacji sposobu kompletowania armii podała autorowi Sadowa, a z uwagi z tego powodu napisane pomieścić, jak zapewniam, bez zmiany w swojej rozprawie. Chodzi w nich o zmniejszenie niedogodności pruskiego systemu ogólnego obowiązku służenia w wojsku z zachowaniem wymagań sprawiedliwości i potęgi militarnej państwa. Według projektu p. D., tylko część popisowych każdego roku wstępowałyby w szeregi. Lata służby obowiązkowej wynosiłyby lat 15, z podziałem tego czasu na trzy okresy, służby czynnej (od r. 1—3), rezerwy czynnej (od lat 7—9, czyli do 10-go roku służby) i obrony krajowej — *armée territoriale* (od roku 10-go do 15). Pozostali z popisowych byli-

by zupełnie zwolnieni od powinności zaciągowej, ale za to stanowiliby źródło dochodów na rzecz wojskowych, w ten mianowicie sposób, że część wykupywałaby się od wojska, a inni służyliby przez lat 15, t. j. przez czas całkowitej służby wojskowej, płacąc po rublu od osoby. Z obu tych źródeł tworzyłby się kapitał, umieszczony wyłącznie na hypotekach miejskich a procent sędłby na pensje dla rannych lub wysłużonych żołnierzy, na nagrody przywiązane do medali i orderów wojskowych i t. p.

Projekt administracji ogólnej poprzedza p. Lubecki kilkoma ogólnikowemi uwagami o szkodliwych i błędnych ideach z 1789 roku, które wywołały w Europie parlamentaryzm, instytucję nigdzie nie odpowiadającą swemu założeniu, niedającą rękojmni stałości i jedności politycznej, a obok tego niebędącą tem, czem się mieni, t. j. wyrazem woli ogółu. Uważa tedy autor za szczęśliwe te państwa, gdzie nie wkradła się ta choroba wieku, zamiast której chciałby widzieć proponowany przez siebie ustroj państwa. Według tego projektu, hierarchia administracyjna ma pięć instancyj: wieś, gminę, powiat, gubernię i prowincję; wszystkie te organy administracji mają być wybieralne. A należą tu:

1) *Wies*. Naczelnikiem jej jest *starosta* i jego pomocnik, wybierani przez mieszkańców, mających prawo głosu; władzę sądową sprawuje dwu „sędziów sumienia“ (*juges de conscience* — sowiernyje), którzy mają prawo skazywać do 3 rubli kary pieniężnej.

2) *Gmina*. Na jej czele stoi *starszyna* i jego pomocnik, wybierani przez starostów wsi do gminy wchodzących z pomiedzy nich samych; czterech sędziów sumienia sędzić ma sprawy mieszkańców gminy z prawem wymierzania kary do 10 rubli. Policję we wsiach i gminach wykonywają stróże polni, wiejscy i gminni. Prócz tego w każdej gminie ma być instytucja nadzorcza, na którą szczególny kładzie nacisk p. Lubecki. Sprawuje ją „sędzia pośrednik“ (*mirowyj posrednik*), wybierany przez starszyn i starostów gminy z pomiedzy większych właścicieli ziemskich lub ich przedstawicieli. Ma to być ojciec, anioł opiekuńczy gminy; polubownie sędzi zwaśnionych bez apelacji, seiga przestępców, karze ich krótkim aresztem lub oddaje sądom dla wymierzenia cięższej kary, kontroluje czynności administracji. Z wprowadzeniem tego urzędu, (który i dziś istnieje w guberniach zachodnich, ale sprasują go osoby z ramienia władzy) nasta-

W następujący sposób zrobiłem znajomość z Prudhomme. W jesieni 1819 r. przyszedł do mnie jakiś jegomość, wyglądający lekko i powiewnie. Wyraziwszy niezmierną radość z poznania takiego jak ja *publiciste distingué i spirituel*, uwiadomił mnie, że ktoś życzy sobie założyć dziennik, którego ja mam być redaktorem, pytając, czy się na to zgadzam. Człowiek ów wydawał mi się słabo wykształconym, wiara jego polityczna nie szczerą; nie był ubogo, lecz wyszarzano ubrany, co nie jest w Paryżu bez znaczenia. Zdawało mi się, że pod obszernym płaszczem liberalizmu widzę końska stopę policyi. Lecz to właśnie pobudziło mnie do wdania się z nim w dalszą rozmowę. Odpowiedziałem tedy, że coś podobnego przyjąłbym z rozkoszą. Wtedy przyrzekł zaprowadzić mnie do pewnego sławnego publicysty, z którym bliżej o tej sprawie pomówię. Zaprowadził mnie do Prudhomme'a. Ten przewiercił na pięćdziesiąt, sto stop moją pierś, jakby chciał wykopać studnię arcyzyską; jakoż usposobienie moje trysnęło wysoko... Zapytał mnie, w jakim duchu redagowałbym dziennik? W liberalnym — odpowiedziałem. Potrząsł na to głową, i żądał do-

kładniejszego objaśnienia. Musimy się — rzekł — porozumieć ściślej i oznaczyć zasady wyraźnie; *wyrażnie* — było to jego ulubione słowo. Lecz ja, poczciwy Niemiec, nie byłem przyjaciелеm tej wyrazistości i porzuciłem w duchu przedsięwzięcie, o którym może poważnie nie myślano. Człowiek ten miał rzeczywiście słusność, wtedy jednak nie pojmowałem rzeczy. Prawość niemiecka jest wysoka, stara i niewzruszona jak piramida, lecz leży w pułstyni i jest przybytkiem śmierci. Niemiec sądzi, że nawet w starciu mniemań politycznych należy walczyć za prawdę i to mówić, co uważamy za słusne i sprawiedliwe. Zapomina, że jest to wojna jak każda inna i że niedość walczyć za dobrą sprawę, trzeba jeszcze pamiętać o towarzyszach. Trzeba wyszukać ich, zgromadzić, uzbroić, zachęcić i nagrodzić. My nie trzymamy się żadnego stronnictwa. Francuz chwali i popiera każdego, kto stoi po jego stronie, gani i szkodzi natomiast każdemu, kto przeciw niemu. Tym sposobem nietylko powiększa i wzmacnia swe stronnictwo, lecz zmusza tajnych nieprzyjaciół do otwartej nieprzyjaźni i do utworzenia partii. I dlatego francuzi osiągają wszystko,

my Niemcy nie. Gazeta jest dla nas tylko krytycznym, umiejętności politycznej poświęconym dziennikiem. Czyn dyplomatyczny, wypadek polityczny robieramy jak książkę, raz na zawsze, po czem milczymy. Mówienie o tej samej sprawie codzień wydaje nam się tak nudnem i niesmacznem, jak robieranie codzień tej samej książki i w niedorzecznem naszym zaślepieniu śmiejemy się ze „stereotypowej polemiki“ dzienników francuskich. Zapominamy całkiem, że dziennik polityczny jest to pewnego rodzaju rząd, który jeśli nie chce być obalonym, nie powinien nigdy stać na miejscu. Takie to błędne przekonanie i ja jeszcze miałem, gdy rozmawiał z Prudhomme. Odpowiedziałem tedy, iż godne pochwały — chwalić, nagać — ganić będę i byłem dumny z mojej germańskiej cnoty. Żądano odemnie, ażebym przyjaciół naszych chwalił, nieprzyjaciół ganił cokolwiek robić będą, i słusznie.

Byłem wtedy młodym Niemcem. Urodziwszy się podczas wojny o niepodległość z tysiącem innych o jednej godzinie, miałem tysiącznik — dopiero lat pięć. Dziś jestem jednym z niewielu owych ty-

nie raj ziemski: dzieci nie będą wyganiały starych rodziców, kościoły nie pomieszcza nabożnych a karczmy świecić będą pustkami, władze nie będą sprzedajne, zapobiegnie się rozdrabnianiu własności włościańskiej, pożarom, kradzieżom koni, lichwie żydowskiej i t. p.

3) *Powiat*. Zarząd powiatowy stanowią „radyce okręgowi“ czyli członkowie zarządu powiatowego, wybierani w każdym okręgu przez większych właścicieli lub ich reprezentantów z pomiędzy siebie. Radni wybierają z pomiędzy siebie „marszałka“, który im przewodniczy, oraz jego zastępcę. Obok tego ciż wybierają w każdym okręgu „sędziego pokoju“, który sędzi sprawy w apelacji od sędziów sumienia, a w pierwszej instancji spory właścicieli większych między sobą lub z ludnością wiejską. Sędziowie pokoju całego powiatu tworzą zjazd sądowy pod prezydencją jednego z pomiędzy nich. Na posiedzeniach zjazdu sądowego i rady powiatowej zasiadają sędziowie pośrednicy z głosem doradczym.

4) *Gubernia*. Zarząd w niej stanowią marszałkowie powiatowi, jako członkowie i wybrani przez nich z tegoż grona „marszałek gubernialny“, jako prezydujący.

5) *Prowincja*, w której rządzi generał gubernator i zostające pod jego prezydencją kolegium złożone z marszałków gubernialnych.

Taki jest projekt reformy administracyjnej ks. Aleksandra Druckiego Lubeckiego. Z całej rozprawki wieje jeden duch, mianowicie: do zarządzania krajem Bóg stworzył jeden tylko gatunek człowieka, t. j. pana obszernych włości, a pan ten tak z natury swej obdarzony jest administracyjnymi zdolnościami, że bez wiedzy szerszej, bez badań wszechstronnych może po obiedzie, przy czarnej kawie dyktować sekretarzowi plany reformy. Wprawdzie książę Lubecki nie podaje za nowość zasady obieralności, którą przeprowadza w administracji; owszem projekt swój wyprowadza z Najwyższego Ukazu (r. 1861) oinstytucjach ziemskich. Z taką jednak powagą i przejęciem wystawia dobre strony samorządu, jakby tego nie można było znaleźć w pierwszym lepszym podręczniku. Ciasnota poglądu, przechodząca tu i owdzie w naiwność, uderza na każdym punkcie, i dobiega swego szczytu w ocenie parlamentarizmu, w czym autor nie umiał się zdobyć na głębsze zarzuty, ani na zdanie sobie sprawy z przyczyn i okoliczności dziejowych, które do tej a nie innej formy doprowadziły. Widząc w nich dzieło wybryku raczej pewnej warstwy, niż wynik warunków historycznego życia, staje się

ks. Lubecki największym rewolucjonistą, z zasady uznając możność wiekowego istnienia i rozpowszechnienia instytucji dowolnie ludzkości narzuconej. Jednostronność poglądu doprowadzona jest w projekcie do tego stopnia, że nie znalazły w nim miejsca miasta, ani zamieszkała w nich ludność inteligentna. Chłop rządzi się sam we wsi pod okiem pana, a pan rządzi wszystkimi; mieszczanina niema i królestwo boże urzeczywistnia się na świecie. Oto ideał administracyjny księcia Aleksandra Druckiego Lubeckiego. Jak widzimy, rojenia dosyć niewinne.

K. D.

SIEDEM ZAGADEK ŚWIATA.

Przed kilku miesiącami, w rocznicę urodzin Leibniza, znakomity przyrodnik niemiecki du Bois-Reymond czytał w berlińskiej Akademii Umiejętności świeżo drukiem¹⁾ ogłoszoną rozprawę, w której na podstawie pomysłów wielkiego filozofa sformułował i objaśnił „siedem zagadek świata“, niby siedem zamków, do których wiedza nasza nie wynalazła jeszcze kluczy.

I jakież to są zagadki?

Pierwszą trudność poznania stanowi — według du Bois-Reymonda — istota materii i siły.

Drugą przedstawia początek ruchu. Widzimy, jak ruch powstaje i znika; możemy wyobrazić sobie materię w spoczynku; ruch wydaje nam się w materii czemś przypadkowym. Nasza potrzeba przychylności wtedy tylko czuje się zadowoloną, gdy pomyślimy sobie w czasie nieskończone odległym materię spoczywającą i również w nieskończonej przestrzeni rozmieszczoną. Ponieważ pobudzenie (*Anstoss*) nadnaturalne nie pasuje do naszego świata pojęć, pierwszy zatem ruch nie posiada dostatecznej przyczyny. Albo też przedstawiamy sobie materię od wieków poruszającą, a wtedy zrzekamy się wszelkiego zrozumienia tego punktu. I ta trudność, jak poprzednia, jest transcendentalną.

Trzecią tworzy powstanie życia. Tej niepodobna uważać za transcendentalną. Jeśli materia zaczęła kiedykolwiek się ruszać, światy mogły powstawać. Śród warunków

¹⁾ Naprzód w *Monatsberichten der Akademie*, a potem w *Deutsche Rundschau*, wrzesień.

odpowiednich, których my dziś równie nie zdołamy naśladować, jak i tych, w których odbywa się mnóstwo zjawisk nieorganicznych, mógł wytworzyć się także szczególny stan równowagi dynamicznej, nazwanej życiem. Jeżeli przypuszczymy jakiś akt nadprzyrodzony, wystarczylby jeden taki akt do stworzenia materii; w każdym razie my potrzebowalibyśmy tylko jednego dnia stworzenia.

Czwartą trudność następcza pozornie celowe urządzenie natury. Prawa kształtowania się organicznego nie mogłyby działać celowo, gdyby materia od początku nie została stworzona z celem; z mechanicznem więc pojmowaniem natury pogodzić się one nie dadzą. Ale i ta trudność nie jest bezwarunkowo transcendentalną. Darwin w naturalnym doborze umożliwił ominięcie jej i objaśnienie wewnętrznej celowości stworzenia organicznego oraz jego przystosowania się do warunków organicznych za pomocą łańcucha okoliczności, działającego z koniecznością natury na wzór mechanizmu. Owa teoria naturalnego doboru jest deską, ratującą nas tonących w niewiedomości.

Piątą trudność stanowi powstawanie prostych wrażeń zmysłowych. W *Nouveaux Essais* wkłada Leibnitz w usta obrońcy sensualizmu, Filoletesa, te prawie od Locke'a pożyczone słowa: „Jest to dość jasne, że cząstka materialna nie może nie z siebie wydobyć i sama udzielić sobie ruchu. Ruch jej więc albo musi istnieć od wieków, albo musiała go w nią wlać jakaś istota potężniejsza. Alenawet gdyby istniał od wieków, nie mógłby wytworzyć świadomości. Podzielcie materię na dowolnie drobne cząstki, nadajcie, jakie chcecie, kształty: zróbcie z niej kulę, sześcian, pryzmat, cylinder i t. d. figurę, której rozmiary wynoszą zaledwie tysiącomilionową część stopy filozoficznej. Cząstka ta, mimo swej małości, nie będzie inaczej działała na inne tegoż szeregu, jak ciała, posiadające cał lub stopę średnicy. Z równą zaś słusnością spodziewać się można, że połączenie wielkich części materii pewnego kształtu i ruchu zrodzi uczucia, myśli, świadomość jak i cząstki najdrobniejsze w świecie. Uderzają one na siebie wzajemnie, posuwają się i opierają, podobnie jak duże; nie więcej uczynić nie zdołają. Gdyby zaś materia mogła bezpośrednio, bez maszyny, lub bez pomocy figur i ruchów wytwarzać sama z siebie czucie, spostrzeganie i świadomość, to musiałyby one być nieodłączną własnością jej i wszystkich jej części.“ Na to odpowiada Teofil, przedstawiciel idealizmu Leibniza: „Wydów ten uważam za

siaczników, którzy pozostali, i którzy owe czasy przypominają. Smutnie to.

Chociaż wkrótce porzuciłem i zamiar redakcyi i Prudhomme'a — nie opuścił mnie przecież pośrednik dziennikarski i stręczytel polityczny. Odwiedzał mnie i nadal, kilka razy zaprosił do restauracji, gdzie za mnie płacił. Nie miałem nie przeciwko temu. Pewnego razu poznałem przy stole Niemca, z którym między innemi, zacząłem mówić o polityce. Skoro odszedł, towarzyszył zarzucał mi delikatnie nieostrość, iż w publicznych miejscach, gdzie nigdy nie zbywa na szpiegach, rozmawiam o rządzie, że nie nie znaczą niemieczyna, gdyż są szpiegi, rozumiejący ten język. Co? szpiegi między Niemcami? Niemcy między szpiegami! to potworne oszczerstwo! Omal, że nie rozbiłem flaszki o głowę francuza. Dobrze jednak się stało, że tak nie postąpiłem i że ten krótki monolog patryotyczny, w duchu tylko sobie wypowiedziałem. Gdy bowiem w parę lat później znowu przybyłem do Paryża, poznałem wielu szpiegów niemieckich. Jeden z nich, który mnie często odwiedzał, — pewnego razu przyszedł jak zwykle, siadł przed kominem i grał się wygodnie. Nie miał

drzewa w domu i nie potrzebował go, bo w Palais-Royal pod nr. 13, gdzie był czynnym, dniem i nocą mógł się swobodnie ogrzewać. Skoro się ogrzał dosyć, zrobił poważną minę i oświadczył, że chciałby ze mną pomówić. Przerwałem mu natychmiast i zapytałem, czy nie mógłby mi na czas krótki pożyczyć czterystu franków? Chciałem go uprzedzić, gdyż spodziewałem się, że zamierza prosić o pożyczkę; prośba, którą często znosić musiałem w Paryżu, nigdy mnie nie wzruszała. Odpowiedział, że słowa *mieć pieniądze* nie używa nigdy w trybie oznajmującym czasu teraźniejszego, lecz w przeszłym i przyszłym; i że chce mi natomiast uczynić pewną propozycją. Oto armia francuska zajęta jest teraz w Hiszpanii; zdarza się więc dogodna pora do działania. Żyje w Paryżu 30,000 Niemców, przeważnie dzielnych rzemieślników — powiększył liczbę, zwyczajem spiskowców, by mnie zwabić i dodać odwagi; my — on i ja — możemy na czele rzemieślników rzucić się na Niemcy i wszystko zniszczyć — a najpierw Prusy. Skoro poznałem, że nie ma zamiaru żądać ode mnie pieniędzy, tylko pomocy do zdobycia Prus, rozpozgodziłem zasępienie czoła i rze-

kłem uprzejmie, że propozycja jest świetna, i że się na nią zgadzam; nie wątpię, że się powiedzie, gdyż nasi rzemieślnicy są przyzwyczajeni do fechtunku; tylko mam teraz na nieszczęście silny katar, lecz przybędę za nim z pewnością z tylnym korpussem.

Był-że ten głupi łotr w służbie policyi francuskiej? Wątpię, gdyż ta ostatnia nie jest tak ograniczoną. Prawdopodobnie, był to szpieg niemieckiego mocarstwa, które wtedy w Paryżu wyszukiwało demagogów, albo uchodzących za takich — i niejeden talar wyrzucało na podobne nedoręczności.

(Dalszy ciąg nastąpi).

możliwie uzasadniony i nie tylko trafny, ale nadto głęboki i godny swego autora.“ Obaj filozofowie doszli do tego samego wniosku, do którego my dziś dochodzimy. Wywód ich nadwyrężyły nauki przyrodnicze. Z obecnego bowiem stanowiska wiedzy zarzucić można, że przy coraz delikatniejszym podziale materii natrafiamy na punkt, w którym ona rzeczywiście rozwija nowe własności. Nie jest to wcale rzeczą obojętną, czy położymy obok siebie grube kawały węgla i siarki, czy też zmieszamy je w proszkach. Jeżeli materia, zależnie od stopnia rozdrobnienia, objawia coraz nowe działania, dlaczegożby przy jeszcze delikatniejszym rozdrobnieniu nie miała myśleć? Nie kusząc jednak do zwo-
dnych przypuszczeń, wyznajmy lepiej, że dotąd żadne uporządkowanie i ruch atomów nie zdołały nam objaśnić świadomości. Jeszcze druga uwaga. Z niemożności wytłumaczenia świadomości mechanicznie wnioskuję Leibnitz, że jej nie rodzą objawy materialne. Podzielając z nim przyznanie się do trudności pojęcia, usuwamy się od przypuszczenia i gromadzimy dowody, wykazujące łączność świadomości z zjawiskami materialnymi.

Szóstą, daleko od poprzednich mniejszą trudność widzi du Bois-Reymond w objaśnieniu rozumnego myślenia i związanego z nim języka. Trudność ta wydaje mu się mniejszą dlatego, że pomimo wielkiej przepaści między najwyższym zwierzęciem i najniższym człowiekiem oraz niemożności rozwiązania objętych tą skalą zagadnień, gdybyśmy znali początek świadomości, łatwiej podobałoby się tajemnicom jej rozwoju.

Siódmą wreszcie, ostatnią trudność poznania stanowi wolność woli. Starożytność klasyczna nie zbyt łamała sobie głowę nad tą sprawą. Niemając pojęcia o niezłomnych prawach natury, ani o bezwzględnym rządzie świata, nie dostrzegała starcia między wolnością woli a panującą zasadą istnienia. Dogmatyzm chrześcijański upłatał się w tej zagadce bez wyjścia. Ojcowie kościoła i całe ich duchowe potomstwo wahało się między swobodą woli a boskim przeznaczeniem. Determinizm odział się w sukienkę religijną. Inaczej kwestya ta dziś się przedstawia. Teorya zachowania energii uczy, że siła, zarówno jak materia, ani powstaje, ani ginie. Stan całego świata oraz mózgu ludzkiego jest w każdej chwili mechanicznym skutkiem stanu poprzedniej i bezwarunkową przyczyną mechaniczną stanu następnej. Niepodobna wyobrazić sobie, ażeby w jakiegokolwiek chwili z dwu rzeczy stać się mogła jedna lub druga. Molekuły mózgowe padają zawsze tylko w pewienznaczony sposób. Gdyby jakaś molekula bez dostatecznej przyczyny zboczyła od swego położenia lub kierunku, byłoby to takimże cudem, jak gdyby Jowisz wyskoczył z swej elipsy i wpadł w zamieszanie cały systemat planetarny. Jeżeli więc, jak sądzi monizm, nasze wyobrażenia i dążenia, a więc i objawy naszej woli, są wprawdzie niepojętymi, ale koniecznymi zjawiskami, towarzyszącymi ruchom i układowi molekuł mózgowych, to znaczy, że niema wolnej woli. Dla monizmu cały świat jest mechanizmem, a w mechanizmie niema miejsca dla woli swobodnej.

Takie są — według du Bois-Reymonda — zagadki świata, zasadnicze jego tajemnice, nad których odsłonięciem pracuje nasza wiedza. Jest to prawdziwy trud Syzyfa. Szczęściem, że w nim posiadamy także syzyfową wytrwałość.

Z.

TEORYA WYCHOWANIA,

oparta na historii, psychologii, moralności, polityce
podług GABRIELA COMPAYRÉ).

II.

Historyczny postęp pedagogiki ustalili pewną liczbę praw ogólnych, których już nikomu lekceważyć nie wolno. W czasach dawniejszych nie każdy mógł korzystać z dobrodziejstw nauki. Charakter czasów nowożytnych polega na zniesieniu przywilejów, co i tutaj ma miejsce; nauka stała się dobrem powszechnym. Ta powszechność wywołała wielką różnorodność metod. Dziś już nie uważamy, że jeśli w wychowaniu są jakieś żywyte zasady, ogólnoludzkie, wspólne dla wszystkich, to z drugiej strony istnieje znaczna liczba wychowań specjalnych, zastosowanych do osiągnięcia rozmaitych celów. Jeszcze inne dążności przebijają się nader wyraziście w pracach pedagogiki nowoczesnej, zaznaczając sprzeczność pomiędzy wychowaniem czasów minionych a teraźniejszym. Przede wszystkim obecnie staramy się sprawić zadowolenie naszemu wychowawcowi, a zdobywanie prawdy czynimy mu przyjemnym i łatwym. Podnoszą się głosy, wołające o zmniejszenie liczby godzin szkolnych. Zostawiamy dziecku dosyć wolnego czasu na czytanie poza-szkolne, na przechadzkę oraz ćwiczenia fizyczne. Nie skazujemy już uczniów naszych, ażeby byli niewolnikami książki, ale uprawiamy w nich obserwacyę i samodzielne myślenie. Nauczając, pokazujemy dzieciom rzeczy istotne, nie zaś znaki i symbole rzeczy lub ich abstrakcyę. Staramy się obznajmić naszego wychowawcę z faktami raczej, aniżeli z uogólnieniami faktów. I dopiero sam już uczeń nowożytnej szkoły, wychodząc z faktów szczegółowych, które zaobserwował, wyprowadza sobie prawo, wśród tych faktów panujące. W wychowaniu wogóle a przy nauczaniu wszędy pedagog dzisiaj przy stara się podłuchać głos natury człowieka. Nie jest to już żadną zagadką, iż pewne tylko nauki odpowiadają pewnym okresom wieku, podobnie jak niewszystkie pokarmy właściwymi są dla żołądka dziecięcia.

Usiłujemy tedy odgadnąć gust naszego wychowawcy, bo wiemy już dokładnie, iż przyjemność, jaką dziecku sprawia pewna nauka, jest nieomyślnym znakiem psychologicznym, każącym nam wierzyć, że naukę tę umysł będzie już w stanie sobie przyswoić. Zdajemy sobie niemniej troskliwie sprawę z wstrętów ucznia, bo i w tym względzie posiadamy pewność, że nauczanie podobny skutek wywołujące musiało być podane dziecięcej inteligencyi w złej formie, albo że ta inteligencya nie było właśnie odpowiednio przygotowaną. Słusznie powiedział H. Spencer: „ascetyzm zniknął z wychowania, podobnie jak zniknął z życia.“ A jakże my też nie dowierzamy dzisiaj owej powierzonej nauce, polegającej jedynie na zatrzymaniu wyrazów w pamięci! Pragniemy, staramy się z całej duszy, i przeniknięci ważnością obowiązku dokładamy najwyższych usiłowań, aby nauczanie nasze sięgnęło głęboko w istotę dziecka. Chodzi nam bowiem o to, ażeby nauka nie była ozdobą zewnętrzną, ale żeby się odbiła we wnętrzu ludzkim.

Jedną z cech najbardziej interesujących w pedagogice nowej jest wymaganie — w miarę postępu — szerokiej wiedzy pedagoga, bardzo obszernej erudycyi. Przypisać to chyba należy wielkiemu rozwojowi umiejętności i zarazem ściślej powiązaniu z nią związkowi. Co się tyczy atoli programów szkolnych, niemożna w nich częstokroć pochylać skłonności do przeciążania mózgów dziecięcych. Są ludzie, zdający się mniemać, że wychowanie człowieka naszej epoki polega na tem, aby wiedział

wszystko, co kiedykolwiek było pomyslane; aby z umysłu swego zrobił magazyn prawd naukowych, niepomijając bynajmniej literackich piękności. Wyobraźnia twórców czarodziejskich powieści przedstawia nam niejednokrotnie, iż przy kolebce pewnych ludzi schodziły się rozmaite boginie i każda z nich obdarzała nowonarodzonego jakimś szczególnym przymiotem. Dziś już nie czarodziejskie boginie i nimfy otaczają dziecię, ale uczeni, częstokroć mędrcy na różnych polach myśli; a każdy z nich pragnie, aby dziecko nauczyło się od niego tej wiedzy, którą on przez całe może życie uprawiał. Otóż — według zdania tych ludzi — inteligencya człowieka powinna być sumą i streszczeniem wiedzy powszechnej. Co do nas, ośmielamy się widzieć w tym punkcie znaczne niebezpieczeństwo. Bo czyż wzywając dziecię do nadmiernych wysiłków umysłu, nie narażamy jego na zmęczenie? Wychowanie Milla daje nam obraz podobnego wychowania, pozbawionego miary i proporcji; przypomina opisane przez Rabelais'go wychowanie Gargantuy. Gorzej zorganizowana głowa upadnie pod takim nawalem pracy. Dzięki tylko przedwczesnej dojrzałości, wielki umysł J. Stuarta Milla zdołał wybrnąć z niepedagogicznego chaosu. Ostrożniejsi pedagogowie rzec się muszą tego rodzaju postępowania. I wcale nas też nie zachwyca przykład cytowany przez Dupanloup'a, jakoby „pewien uczeń powtórzył na pamięć całego Telemaka,“ inny zaś mądry młodec „zrobił rozbiór gramatyczny, obejmujący przeszło sześćdziesiąt tysięcy wyrazów greckich i francuskich.“ My się tu trzymamy starej, lecz zdrowej zasady: *non multa sed multum*.

Zaznaczone wyżej dążności świadczą niewątpliwie o nieustannym postępie pedagogiki. Niektóre z nich wszakże przedstawiają również niebezpieczeństwo, a możnaby powiedzieć, że i najlepsze między niemi wymagają wykończenia, ściśłości i ułożenia w porządną systematę.

Ażeby załatwić tę kwestyę w sposób pożądaną, aby zrobić dobry wybór wśród metod złych i prawdziwych, aby utworzyć podstawy pedagogiki racjonalnej, na to mamy jeden tylko sposób: porzućmy pole historii a zwróćmy się po radę do psychologii. Wychowanie a raczej nauka wychowania jest to mistrzyni ludzi, ale też sama nauka musi być uczennicą psychologii.

Pedagogika oraz psychologia są nierozdzielnie związane. Postęp obu tych gałęzi jest skojarzony. Im lepiej poznamy człowieka, a ściślej mówiąc, dziecko, tem bardziej będziemy uzdolnionymi wychowawcami. To też powinniśmy się szczerze cieszyć z usiłowań ostatnich kilku lat, mających za cel badania w dziedzinie psychologii dziecka. Rzecz prosta, iż pozostają zawsze jakieśliczne punkty ciemne, a obecne filozoficzne sprzeczności dalekie są jeszcze od rozwiązania. Niemniej przecież poznanie natury ludzkiej posunęło się już na tyle, że upoważnia do wielkiej liczby sprawiedliwych wywodów. Wszelkie prawo natury człowieka może posłużyć za regułę jego wychowania. Postaramy się tu wyliczyć niektóre dane psychologii, które pedagogika obraca na swą korzyść.

A. Dygasiński.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Szkice historyczne z życia żydów w Warszawie od pierwszych śladów pobytu ich w tem mieście do chwili obecnej skreślił Hilary Nussbaum. Warszawa, 1881 r. 8-a str. IV, 269.

Pierwszy rozdział książki p. Nussbaum, traktujący o osiedleniu się żydów

Malarstwo i rzeźba.

Jednostajność pomysłów Siemiradzkiego. — *Na Caprei za Tyberyusza*. — *Miłosna przygoda Olbrachta Matejki*. — Potomstwo mistrza: *Żółkiewski pod Cecorą* Piwnickiego. — *Ułana* Konopackiego. — *Blau montag* Koniuszki. — *Wizyta kwatermistrza* Löfflera. — *Dwie wdowy* Pochwińskiego. — *Kowal* Lentza. — *Nowy targ* i *P. Lipski na wojnie Chocimskiej* J. Kossaka. — *Szlanka grecka* Picarda. — Rzeźba Rygiere. —

Nie bez pewnej słuszności zarzucano ostatnimi czasy Siemiradzkiemu szabloność i zamknięcie się dobrowolne w zakresie pewnej kategorii tematów... Zawsze to samo słońce, przeświecające przez opone liści, te same spokojne cieniste zacisza, cysterny pełne wody i otoczone kwiatami, wilgotne mechy na kamieniach, para kochanków w miłosnej pograżona rozmowie, albo grono biesiadników, używających poobiedniego wczasu. Chociaż dzieje sztuki przedstawiają nam niejedną przykłąd takiego ciągłego powtarzania się tychże samych pomysłów lub przedmiotów, które artysta odczuwa najlepiej, jednakże u nas publiczność a nawet krytyka podejrzewała zaczęła talent Siemiradzkiego o pewne wyczerpanie, w którym twórczość przeżuwa własne swoje płody. Zarzuty te twórca *Jawnogrzecznicy* odparł najnowszym wielkim obrazem: *Na Caprei za Tyberyusza*, znajdującym się obecnie na wystawie p. Krywulcia, a stanowiącym dosadny kontrast ze wszystkimi niemal płótnami znakomitego artysty z ostatnich czasów. Pod względem podniosłości nastroju obraz ten niewątpliwie przewyższa wielkie jego twory, oparte na głębszej treści a uderza świetnym traktowaniem widowni, na której odbywa się główna scena. Na skalistą stronę Caprei schronił się okrutny i podejrzliwy Cezar, aby w tem ustroniu trawić swobodnie życie wśród rozpusty i szalu, bez obawy wrogów i spisków, grożących w wiecznym mieście jego wyobraźni. Na prawo kamienny brzeg oplukują fale morskie a po za nim widać na cyplu wchodzącym w morze pałac, z którego wieży połyska płomień strażniczy. Nalewo i w środku zamykają widok wielkie skalne głazy, przy których, jak gadziny, splatają się powyginane drzew karłowatych gałęzie. Pierwsze przebliski świtu bladawo szarzeją w głębi na horyzoncie, noc zaczyna ściągać z nieba swą ciemną opone a blade rany rozpościera mgłę chłodną i wilgotną, która wieszka się na skał krawędziach. Natura przed zupełnym rozblaskiem poważna i surowa spoczywa w chłodnym mroku, skalne głazy sterczą wyniosłe i ponuro, jakby ścięte zimną pogardą dla zbrodni i bezceństw człowieczych... U stóp tych skał, na ziemi leżą dwa skrwawione, zgruchotane trupy. Z szczytu skały zepchnęło tych nieszczęśliwych okrucieństwo Cezara, który wczoraj jeszcze może z nimi biesiadował i darzył swoją łaską kapryśną a później jednym skinieniem skazał ich na śmierć okropną... Tymczasem w głębi pomiędzy skał wysunął się w szalonym pochodzie orszak pijacki, który po nocy spędzonej wśród orgii wyruszył na włóczęgę po brzegach wyspy, jakby się chciał skąpać w chłodnym powiewie poranku. Wesole, na pół obnażone tancerki i strojne, lubieżne hetery splatają się w ochoczym kole z gronem ulubieńców Cezara, ustrojonych w kwiaty, rozszalałych i trawionych rozpustą. Tuż na przedzie, ruchem pełnym kuszącego wdzięku wyskakują nad samym brzegiem hoża tancerka, uderzając w bębnek; inna znowu wśród płasów nagle się zatrzymała i na pół przerażona patrzy na pobliskiego trupa; za niemi w mroku toczy się siwy wstrętny Tyberyusz, oparty na ramionach dwu zalotnic, chcąc zapewne przyjrzeć się ofiarom swoim. Orgia na

tym obrazie nie jest nową, bo artysta dowiódł, że takie sceny umie świetnie malować, chociaż tutaj nadal jej odrębny charakter i uchwycił moment żywego, szalonego ruchu. Hulaszczy orszak w *Jawnogrzecznicy*, grono gości Nerona w *Żywych pochodniach* przedstawia się względnie spokojnie. Tutaj zaś, chociaż rozpusta wre na mniejszą skalę, jednakże płasza żywo w gwałtownych podskokach, i przyznać należy, że artysta wyrazistość tego ruchu oddał w kompozycji bardzo pięknie, z werwą i życiem, nieprzekraczając granic estetycznej miary, niesiląc się na jaskrawe efekta.

Zasadniczy ton obrazowi nadaje oryginalne i pełne siły traktowanie widoku przyrody, oraz doskonale przeprowadzenie momentu optycznego. Zimna szarość poranku obleka skały surowością i powagą, nawet na falach morza kładzie mętne barwy, tylko na horyzoncie, z po za smat podłużnych chmur, ukazują się blade pasy światła. Ten ton główny ma nietylko wartość przedmiotową, jako obraz pewnego oświetlenia w naturze, ale zarazem nosi na sobie piętno pewnego podmiotowego nastroju, jako technienie poetyczności groźnej i złowrogiej, roztaczającej się nad widokiem spodlenia i zbrodni. Ślepa, bezmyślna uciecha szaleńców wobec tej powagi przyrody sprawia przejmujące wrażenie, a samo upostaciowanie artystyczne przedmiotu nasuwa widzowi sąd moralny o tej orgii okrutnej, będącej wyuzdaniem jednostkowej swawoli człowieka, co przywykł ludzi uciskać i kruszyć jak cacka.

Taki nastrój obrazu, który w formach przedmiotowych, bez naciąganej stylizacji, wyraża nietylko treść plastycznej sceny, ale oświeca ją także promieniem myśli etycznej; takie zespolenie treści malowniczej z idealną, jest dokonaniem jednej z największej trudności dla malarza, gdy chce wykroczyć po za sferę czystej plastyki. Obraz ten jest nowym dowodem, że artysta, pragnący wyrazić jakąś myśl, czy ukazać przedmiot swój w danym oświetleniu moralnym, tylko wtedy osiągnie zamiar z powodzeniem, jeżeli nie będzie narzucał *a priori* przedmiotowi intencji przechodzącej ramy techniczne sztuki, ale potrafi ją *a posteriori* wydobyć za pomocą naturalnego upostaciowania pomysłów. To szczęśliwe pogodzenie możliwości środków z zamiarami artysty i pięknoscią wykonania nadaje niepospolitą wartość temu obrazowi, który przynosi zaszczyt naszej sztuce, chociaż autor wbrew gderaniom kwaśnego patryotyzmu przedstawił w nim orgię klasyczną, a nie polsko-szlachecką.

Awanturniczą treść posiada także mały obrazek Matejki *Miłosna przygoda Olbrachta*, na którym artysta przedstawił niemiły wypadek, jaki spotkał młodego Jagielona, uganiającego się za wdziękami mieszczanki krakowskiej. Gdy Olbracht tajemnie ślaniał się nocą po ulicach miasta i gruchał pod oknami swej oblubienicy, jakiś inny zalotnik stał się z nim i koronowanego balamuta potraktował cięciem pałasza. Na odgłos bójki wybiegła z łóża w białiznie, okryta prześcieradłem piękność, o którą krew przelewano. Jeżeli wierzyć artyście, Olbracht miał gust nieszczęśliwy a jego bogdanka jest ordynarną okazale kobietą, niemającą ani odrobiny wdzięku. Postać ta jest najmniej ponętną częścią obrazka, który resztą odznacza się przesłizcznym malowaniem tła architektonicznego, oraz doskonałym ruchem i układem wszystkich pozostałych figur.

Dzieckiem ducha Matejki jest wielki obraz p. Piwnickiego: *Żółkiewski pod Cecorą*, znajdujący się na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Chociaż jednak w pojęciu szczegółów utworu artysta szedł za wielkim mistrzem krakowskim, jednakże nie zdobył się na cząstkę jego potęgi; ustrzegł się tylko zamętu, wywołanego przez zbytne skupienie różnych ustępów

w Warszawie, i drugi, którego treścią dzieje żydostwa do r. 1822 t. j. do zniesienia kahału i zastąpienia go przez Dozór Bóżniczy, — słabe są bardzo. Na podstawie ogłoszonych już robót można było sprawy żydów z osmnastego stulecia przedstawić gruntowniej; na podstawie zaś źródeł godziło się wiek dziewiętnasty opracować szerzej i głębiej. Zamało wie autor o mozolach sejmu wielkiego; niesłusznie Kollatajowi uczynił zarzut, że „jako ksiądz nie mógł się podnieść w swoim poglądzie do stanowiska Butrymowicza, który z prawdziwem humanitarnem uczuciem dążył do zlania obcego żywiołu żydowskiego w jedną moralną i społeczną z narodem całość“ (str. 23). W poglądach Kollataja wogóle, a w szczególności w kwestyi żydowskiej *księżowstwa* dopatrzeć trudno. Jeżeli autor o zniesieniu *cheremu* w r. 1797 i kahału w r. 1822 pisze z uznaniem, to i Kollataja powinien wielbić, on bowiem pierwszy podobno zabraniał pod karą 500 grzywien użycia klątwy i znosił instytucję kahalną (*Prawo pol. narodu pol.* Warszawa 1790 r. str. 182—189). Działając w duchu wyznawanego przez się *prawa natury*, zasadę równości w obliczu prawa zastosować pragnął do wszystkich; niwelował żydostwo z resztą ludności i autonomiczne stanowisko jego usiłował podkopać. Stoi Kollataj pod tym względem odosobniony od reszty współczesnych, którzy na *cherem* napadać, a kahałów znosić nie śmieli. Ozydach warszawskich pod rządem pruskim mało powiedział umiał p. Nussbaum. Godziło się przeczytać i zbadać *General Juden Reglement für Süd- und Neu-Ostpreussen* (de dato Berlin den 17 April 1797), *Publicandum* z 2 grudnia 1799 r. zabraniające żydom włóczyć się po wsiach i t. p. Za Królestwa Kongresowego agitowała się sprawa żydowska podczas sejmów z r. 1818 i 1820, dużo wywołała rozpraw i swistków. Należało rozebrać broszurę generała Wincentego Krasieńskiego: *Aperçu sur les Juifs de Pologne*, odpowiedź na nią: *Sposób na żydów czyli środki niezawodne zrobienia z nich ludzi uczciwych*; ramotę J. G. O *żydach*, ogłoszoną współcześnie (w r. 1818) *Uwagi pewnego oficera nad uznaniem potrzebą urządzenia żydów w naszym kraju i nad niektórymi pisemkami w tym przedmiocie teraz z druku wyszłymi*, rozprawkę Rabbi Mosesa Ben-Abrahama: *Głos ludu izraelskiego do prawdziwych chrześcijan polskich* i t. p. i t. p.

Szczęśliwiej rozprawia p. Nussbaum o sprawach, na które sam patrzył lub w których osobisty brał udział. Ciekawe np. o szkole rabinów, o wyrabianiu się postępców i ich walce z sektami podaje szczegóły. W r. 1854 nie pozwolił Dozór Bóżniczy na grobowcu b. dyrektora szkoły rabinów, Antoniego Eisenbauma, wyrzeć napisu w języku polskim; jednocześnie wszczął się spór o to, czy woźnica karawanu na koźle, plecami ku zwłokom ma siedzieć, czy też iść powinien przy koniach. Zajmujące są szczegóły, dotyczące wyparcia z synagogi Niemczyzny; ciekawą jest historia chasydów, charakterystyka głośniejszych cadyków, walka chasydów z misnagdami czyli talmudystami i t. p.

Wogóle dzieło p. Nussbauma, jako *pamiętnik* człowieka, który współwyznawców swoich zna dobrze i osobisty w ich sprawach brał udział, zalet posiada dużo. Nie jest naukowem i wyczerpującem przedmiot gruntownie, lecz materiału dostarcza dosyć. Czyta się ono z upodobaniem tem większem, że autor, postępowy rzetelnie, zasymilowania żydów z resztą ludności zwolennikiem jest szczerem.

Wł. Smoleński.

akeyi bojowej na jednej przestrzeni. Co prawda, chwila przez niego obrana przedstawia się pod względem strategicznym niezbyt jasno; ale jest to rozsypka, w której resztki polskiego wojska ulegają przeważnej sile a sam wódz chce śmiercią okupić przegraną i paść na polu bitwy. Przedstawienie w takiej chwili hetmana-bohatera jest jednym z najtrudniejszych zadań dla artysty, który czuł zapewne, że mu nie podoła całkowicie, więc nie wysunął dostatecznie na pierwszy plan postaci głównej, a inne epizody walki traktował wspólnie. Pomijając szczegóły, zaznaczymy tylko, że grupy walczące po prawej stronie są pomyślane i skomponowane wcale dobrze, na lewo także ruch bojowy uchwycony dość szczęśliwie, środek tylko obrazu trochę pusty a widok na rozległe równiny nie zgadza się z realnem pojęciem momentu walki, albowiem śmierć wodza w takim razie byłaby bocznym tylko epizodem, gdy tymczasem z natury rzeczy musi być ogniskiem ostatnich chwil dramatu. Wogóle widać, że p. Piwnickiemu, jak na malarza bitew, brak trochę temperamentu i dramatyczności, że lepiej oddaje grupy, aniżeli postacie pojedyncze, na których twarzach niedostatecznie się odbija okropność chwili. Technika, jakkolwiek zmędziała, nie zawsze jest wystarczającą, akcesorya jednak, bronie i ubiory malowane są pięknie i starannie a koloryt pomimo pewnego przyćmienia ma dużo wdzięku i harmonii. Jak na batalistę, nieprzebaczonym grzechem jest tutaj nieudolne malowanie koni, które przecież stanowić muszą z natury rzeczy abecadło techniki w tej gałęzi malarstwa. Nie wiemy, czy na tem polu p. Piwnicki zdobędzie sobie trwalsze powodzenie, chociaż jego spokojny, refleksyjny talent, ujawniający się dotąd najszybciej w studyach martwej natury, nie zdaje się wykazywać nastroju odpowiedniego dla malarza krwi i żelaza. W każdym razie obecny wielki obraz, zalecający się pięknem wykończeniem kilku figur i epizodów, artystycznym smakiem i umiarkowaniem w układzie, jest bardzo poważnym usiłowaniem w dziedzinie historycznego malarstwa i o całe niebo przewyższa szablonowe roboty niektórych naszych drewnianych batalistów.

Dużo uczucia okazał p. Konopacki w *Ulanie*, która stoi nad strugą, oparta na pochylonym pniu drzewa, zapatrzona smętnie w dal, goniąc zapewne myślą niewiernego kochanka. Pomimo wyszukanej trochę pozy, postać ta naprawdę owiana smutkiem, posiada charakter ukraiński i przemawia do widza cierpieniem. Większe jednak wrażenie czyni posępne tło pejzażowe, w którym artysta szczęśliwie połączył prostotę motywów z efektami oświecenia. Wprawdzie p. Konopacki zdradza pewną niezajomość perspektywy powietrznej, ale w każdym razie jego obraz zaleca się samodzielnym poglądem na przyrodę, oraz harmonią nastroju optycznego z wewnętrzną treścią obrazu. Jest to artysta, który obecnie łamie się z ostatecznymi trudnościami techniki, a gdy je pokona, będzie twórcą całkowitym.

Wśród obfitego grona pomniejszych nowości, które pojawiły się świeżo w salonie p. Krywulca, znajdujemy kilka obrazów naznaczonych cechą talentu a pomiędzy nimi p. Koniuszki *Blau Montag*, daleko lepszy od wszystkich obrazów tego artysty, przedstawiający sceny żydowskie. Widzimy tu pana majstra kunsztu szewskiego, który zwyczajem swego fachu w poniedziałek, zamiast rzemieniem i dratwą, bawi się czytaniem *Czasu* a za nim terminator, korzystając z nadzwyczajnej swobody, przegrza leniwie kromkę chleba. Pan majster jest prawdziwie typem krakowskiego szewca, przedstawionym nie tylko z prawdą, ale z humorem. Z jego pomarszczonej twarzy widać, że swój rozum polityczny bierze na seryo; że bardziej niż prozaiczne

szewstwo przypada mu do gustu obcowanie z wesołą kompanijką. Nietylko figury są pełne charakteru, ale całe otoczenie przedstawia bardzo typowy w swoim rodzaju malowniczy widok szewskiej izby, zawalonej mnóstwem rupieci. Całość, trzymana w dobrym tonie, pomimo zbyt ciemnego nierzakolorytu, przypomina rodzajowe płótna mistrzów flamandzkich, zwłaszcza w układzie i starannem wykonaniu akcesoriów, a w rozwoju talentu p. K. świadczy o istotnym postępie.

Nie nowego nie dał nam p. Löffler w swym obrazku *Wizyta kwatermistrza*, przypominającym treścią i układem dawniejsze płody jego pędzla. Ta sama scena rodzinna pojęta czule, idealnie, ta sama postać pocziwego mnicha, ta sama gospośnia, krzątająca się koło ugoszczenia przybysza, ta sama wreszcie miękkość delikatna, szlachetna, idealny wdźwięk, ta sama skńczoność w malowaniu oraz nadużycie różowej barwy w oddaniu ciała. W obrazku p. Pochwileńskiego *Dwie wdowy*, postać wychodzącej z kościoła, czarno ubranej kobiety z dziećciem, malowana jest delikatnie z wykończeniem i wdźwiękiem. Oryginalną siłą i śmiałością pędzla, zwłaszcza w malowaniu rąk i twarzy, uderza od pierwszego wejrzenia studyum p. Lentza *Koźlak*, dwie pyszne akwarelle Kossaka przedstawiające: *Nowy targ* w Krakowie, oraz *Piotra Lipskiego na wojnie Chocimskiej* r. 1624 podług opisu wyjętego z poematu Wacława Potockiego, podobnie jak wszystkie prace tego artysty odznaczają się pysznym rysunkiem, jedną, szczeropolską werwą i doskonałym odtworzeniem koni. Oryginalną lekcję widzom dał p. Picard w swej *Sielance greckiej*, przedstawiając parę kochanków, siedzącą w cieniu drzew... bez-toalety. Poza kobiety wyuzdana i czelna byłaby odpowiednią chyba w obrazie jakiej lapanarowej sceny. Nie wiem skąd poczerpnął p. Picard natchnienie do takiego pojmowania greckiej sielanki, ale to pewna, że gdyby wstał Teokryt z grobu i zobaczył jego obrazek, możeby pomnożył liczbę godzin klasycyzmu w naszych szkołach.

W salonie rzeźby zwraca uwagę śliczny kobiecej biust Rygiera, który jest pełnym wdzięku idealistą w postaciowaniu twarzy niewieści. Jeżeli to wizerunek królowej Jadwigi, to na jej głowie gwiazdzista korona jest archeologicznym grzechem; ale przebaczymy go artyście, bo w twarzy rozlał on cichy łagodny spokój, ofiarą rezygnację, nadał jej ten czar idealny, który bryle zimnego marmuru każe na wieki być piękną, młodą i promieniącą.

M. K.

LIBERUM VETO.

Usprawiedliwienie. — Przepisy ministerium co do chorób zaraźliwych. — Słomka ratunkowa. — Nadzieja w Pasteurze. — Lecznica bezpłatna. — Wskazówka dla księży. — Ofiara dla szwaczek. — Uspokojone sumienie. — Mierzwiński i Kościuszko. — Przyjazd p. Modrzejewskiej. — Bitwa około „Teatru Nowego.” — Bomby na scenach ogródkowych. — Proces o tytuł ks. Druckiego-Lubeckiego. — Ostrożnie ze starą porcelaną. — Dowody różności twórców natury... — *Scy* na wystawie ogrodniczej. — Jej rezultat. — Ananasy z ogrodu *Nowosti*.

Pięć tygodni upłynęło od chwili, w której po raz ostatni rozmawiałem z wami, czytelnicy na tem miejscu — pięć tygodni dla mnie strasznych, dla was może wesołych. Z innem też zapewne usposobieniem spotykamy się znowu: ja pragnąłbym zapomnieć o wszystkim, prócz mojej boleści; wy wiedzieć o wszystkim, prócz o niej.

Zatrzymajmy tę różnicę: wy współczuciem dla strapionego ojca, ja chęcią spełnienia obowiązku względem czytelnika. Postaram się, ażeby ze słów moich ani krople krwi, ani też nie ciekły.

Złożywszy do grobu ofiarę tej strasznej dzumy, która pod imieniem szkarlatyny i dyfterytu morduje od pewnego czasu dzieci nasze, przynajmniej muszę zasłużyć chociaż tak słabemu ratunkowi, jakim usiłuję zażegnać niebezpieczeństwo ministerium spraw wewnętrznych. Polecilo ono: 1) zabronić przechowywania przez czas dłuższy zwłok w domach prywatnych; 2) przenoszenia ich do kościołów w przeddzień nabożeństwa żałobnego; 3) gromadzenia się dzieci około trumny; 4) zaświadczać z większą szybkością śmierć w wypadkach zarazy i 5) rozciągnąć większy nadzór nad chowaniem ciał zmarłych z zarazy i grzebać je głęboko. Kto widział zupełną bezsilność lekarzy wobec cięższych wypadków szkarlatyny i dyfterytu, haniebną niemoc użytych przeciw nim środków higienicznych i aptecznych; kto patrzył na jakąś niewidzialną, niszczącą potęgę moru, który udaremnia wszystkie nasze zabiegi; kto chronił troskliwie swe dzieci od możliwości niebezpieczeństwa i odeprzeć go nie zdołał — ten w rozporządzeniu ministerjalnem zbawienia nie odnajdzie. Ale chociażby ono tylko zapobiegło jednemu możliwemu wypadkowi, zasługuje na uwagę. Tonąc, czepiajmy się słomek, jeśli nam nie wystarcza bezwładne wobec strasznego moru *liberum veto* i dopóki wielki badacz francuski, Pasteur, pracujący nad poznaniem istoty zarazków, nie uwolni od nich świata. Jeśli tego wielkiego dzieła dokona, jeśli dzięki jemu będziemy kiedyś szczepili szkarlatynę lub dyfteryt, jak dziś ospę, ludzkość powinna ucałować zbawczą rękę. Tymczasem przeklinajmy lub skarżmy się na los, który nam wydziera dzieci w chwili, gdy Pasteurowie jeszcze nie zbadali mikrobów.

Wobec tylu chorób, grasujących w naszym mieście, rzeczywiście dobrodziejstwem dla biedaków jest nowozałożona, staraniem ks. Z. Chelmskiego, bezpłatna lecznica przy ulicy Długiej. Należało się to dawnotym, którzy ledwie mogą ratować swe życie w zdrowiu i dla których pomoc w chorobie jest zbyt ciężką. Dobrze więc, że powstała instytucja, która może nieraz zagoi rozkrwawione serce ojcu, matce, mężowi lub żonie. Jest to *res sacra* a starania około niej są daleko właściwszem zajęciem dla księży, niż ustawiczne ćwiczenia karciane w domu i wyklinalanie postępców w kościele. Ksiądz Chelmski, dzięki gorliwej usługudze lekarzy, spełnił szczęśliwie sakrament wspólnej wszystkim ludzkości religii, która się nazywa miłosierdziem. Przeciwno takiemu nabożeństwu nie protestują ci, którzy nie radziłyby widzieć księży, opróżniających kieszenie ludu chciwością i zapychających jego głowy fanatyzmem.

W ostatnich latach miłosierdzie zrodziło u nas kilka bardzo pięknych objawów. Jednym z nich jest bezimienna ofiara 50,000 rs. dla szwaczek, szczodra nawet wtedy, gdyby z niej jedno zero trzeba było stracić na rachunek bujnej wyobraźni reporterskiej. Istoty te, które dziś są jedynie przedmiotem opieki ulicznych uwodzicieli, zasługują na względy usiłowań szlachetnych. Trzeba pomódz ich biedzie i ich mimowolnym upadkom, ażeby przestały być rybami, które publicznie łowić może każdy głodny czci niewieściej rozpustnik. Wieczna to kolej życia ludzkiego: jeśli jedna ręka nie odprowadzi nieszczęśliwych od przepaści, to druga ich w nią strąci. A strąca się u nas szwaczek w przepaść bardzo dużo, więcej, niż sumienie społeczeństwa znieść może.

Nie słyszymy jego wyrzutów, bo je zagłusza grzmiot oklasków dla p. Mierzwińskiego lub walka o Teatr Nowy, przerobio-

ny z Alkazaru. Krytyce naszej nierzadko się zdarza dostać pomieszczenia zmysłów; takiego jednak obłędu, jak podczas wystąpień p. Mierzwinskiego, nie zdołał w niej wywołać nawet świeżo zdechły na wyścigach Kiejstut. Utalentowany śpiewak, który, gdyby był w Warszawie, z pewnością by *Kuryery* ścigały go za nogi ze sceny i darowałyby teatrzykom ogródkowym, stał się przedmiotem takich owacyj, jakich Kościuszkowski nigdy nie zaznał. Głupi wymysł, że nasze serce i rozum oświeciło uczucie polityczno-społeczne; nas zdolna zapalić tylko iskra uwielbienia dla śpiewaka i aktora. Po za bezbrzeżnym morzem tego zapалу stoją lodowe skały obojętności, na których zaledwie rzadko rosną karłowato inne myśli i inne uczucia. Ktoby przed dwoma jeszcze miesiącami przypuszczał, że w operze paryskiej jest człowiek, zdolny pobudzić nas do najwyższych uniesień? Zaiste dziwić się można, że nie wyteżymy wszystkich sił i nie kupimy sobie tego człowieka, dla którego ojczyzną jest najlepiej płacąca opera a który by nas prawdopodobnie poprowadził do wyższych przeznaczeń. Nie martwmy się jednak: wkrótce podobno przyjeżdża do Warszawy pani Modrzejewska, będąca — jak zaświadczyło pewne zebranie poznańskie — „przewodniczką i hasłem młodzieży polskiej“, która nam zbłąkać się w drodze nie pozwoli.

Około „Nowego Teatru“, jak łatwo było przewidzieć, pisma nasze stoczyły krwawą bitwę. Stara gwardya poprzedniego prezesa teatrów warszawskich uderzyła zajadłe na ten nowy przybytek, a ulani nowego odparli atak mężnie. Według pierwszych „Teatr Nowy“ jest niesmaczną budą, według drugich — gustownem cackiem. Nie próbuję pogodzić zwaśnionych, bo uczynić by to mogli jedynie wodzowie obu drużyn, podawszy sobie ręce. Robię wszakże to, co zrobić mogę: składam słowa głębokiego uznania dla godności pism, walczących po obu stronach.

Po scenach teatrzyków ogródkowych, które zrywają się już do odlotu, przeszedł długi szereg tak zwanych „bomb“, najrozmaiciej utytułowanych a jednak uzdolnionych, które przekonywają, że u nas fabrykacja przyrządów teatralno-wybuchowych spiesźnie wzrasta i że publiczność warszawska łapie się na te same przynęty, które chciwie połyka prowincjonalna. Nie potrzebujemy już teraz uragać ani Łomży, ani Siedlcem — lubimy toż samo.

Jeżeli w obecnej chwili poważni publicyści petersburscy, na jawie i w śne rozmyślający nad restauracją państwa, mogą rozprawić o działaniu kepi na wychowanie młodzieży szkolnej, to doprawdy trudno się dziwić naszemu, zajętem walką towarzystw tramwajowych albo nawet tytułacją literacką ks. Druckiego-Lubeckiego, o którego owocu wspominamy w dzisiejszym numerze *Prawdy*, a który dał powód do publicznego w naszej prasie procesu. P. Rembowski napisał w *Niwie* kilka słów z powodu tej broszury, nazwawszy jej autora *panem Druckim-Lubeckim*. Na szczęście w społeczeństwie naszym, w którym niedawno jeszcze *Biblioteka Warszawska* i *Kuryer Warszawski* nie mogły się doszukać usposobień arystokratycznych, żył groźny mąż, niejaki pan (przepraszam, jeśli przez niewiedomość zniżam jego tytuł) Waliszewski, który w tejże *Niwie* pociągnął demokratycznego krytyka przed sąd publiczny, grożąc złamaniem czynnego dla niej pióra. Ponieważ i my wraz z czytelnikami bierzemy udział w wyrokowaniu opinii publicznej, przyznajemy p. Waliszewskiemu zupełną słuszość, jeśli do uczynił z polecenia ks. Druckiego-Lubeckiego, i prosimy go, ażeby dalej zdobył kolumny *Wiek*, w których inny demokrat „z nad Niemna“ utrzymuje, że chłop tamtejszy może się wprawdzie oświecić i umoralnić przez naukę, ale tylko *pod dyscypliną z tegiego surowca*. Brandes roz-

koszował się De Maistrem, opierającym społeczeństwo na dwu filarach: kacie i papieżu, my rokoszujemy się garniturem swojskiej porcelany literackiej z czasów Starosty Kaniowskiego. Wszystko, co do muzeum wstawić warto, wstawić trzeba. Gdyby kto p. Waliszewskiego lub korespondenta *Wiek* „z nad Niemna“ odświeżył i odnowił, ze względu na ich starożytność, nie czulibyśmy wdzięczności.

Tryumfalnie zakończyła swój popis wystawa ogrodnicza, spuściwszy na uczestników deszcz srebrnych i złotych medalów. Nagrody te warto było przyznać nade wszystko *skim*. Ze Niemcy i francuzi hodują u nas piękne kwiaty i owoce, wiedzieliśmy dawno; ale ze *scy* robia toż samo, dowodnie przekonaliśmy się dopiero teraz. Pierwsza to chyba wystawa, która ujawniła dość znaczny procent swojskich hodowców i swojskich płodów. Bo gdy przemysłowa i rolnicza dowiodły, że Niemiec jest u nas zdolnym fabrykantem lub koń angielski troskliwie wychowanem zwierzęciem, ogrodnicza przedstawiła polską pracę i polskie jej owoce. Jeżeli zaś, jak głoszą, zrodziła ona i towarzystwo ogrodnicze, możemy z niej być zupełnie zadowoleni.

W końcu winieniem rozpieczętować ostatnią posyłkę owoców z ogrodu *Nowosti*. Zawiera ona dwa ananasy: projekt podatku od niesłużących wojskowo i projekt reformy sądów gminnych w Królestwie Polskim. Kto głodny, niech je spożyje. Mnie zbyt serce boli, ażebym mógł o nich pomówić wesoło. Z tegoż samego powodu muszę na później odłożyć, arytmetyczno-krytyczne działanie p. Sienkiewicza, który umieszczając nieśmiertelność w odjemnej, a małość innych literatów w odjemniku, otrzymuje swoją własną sławę w obfitej reszcie.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Z ostatnich wiadomości prowincjonalnych na pierwszym miejscu stawiamy szczegóły, odnoszące się do kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Czerpiemy je z *Gazety Kieleckiej*, która najłatwiej może wiedzieć o przebiegu budowy. Donosi ona, że 22 września przybyła do Kielec specjalna komisya rządowa dla obejrzenia na gruncie wytkniętego ostatecznego kierunku drogi. Grono to składa się z delegatów kilku ministerjów, z przedstawicieli Towarzystwa (J. Blocha) i naczelnich inżynierów. Obrady potrwać do 10 października. O kilku punktach spornych sprawozdawca gazety daje wyjaśnienia, które powtarzamy dla użytku tych co, o jedynej, obecnej budującej się w Królestwie kolei chcą mieć świeże a wiarogodne informacje. „Główny inżynier drogi i delegat ministerjum wojny, oświadczyli w naszej obecności, że przeciw pobudowaniu dworca w prostym kierunku ulicy Konstantego, na płaszczyźnie po za posesją Szmida za wodą, nie znajdując żadnej przeszkody, polegając w tej mierze na przyszłem współdziałaniu obywateli Kielec. Na miejscu był obecny prezydent miasta z kilkoma obywatelami...“ Co znaczy owo „współdziałanie“ obywateli — nie rozumiemy. Przypuszczamy, że obywatele nie będą stawiali przeszkód budowaniu dworca blisko od miasta, pomni na to, że w ich własnym interesie leży uniknięcie zbyt znacznej odległości, na której może wygrać tylko przemysł wozowy i dorożkarski.

Sprawozdawca prostuje następnie wiadomość, jakoby kierunek drogi miał być zmienionym i poprowadzonym przez Poci-

czów, gdzie miał powstać oszańcowany obóz. „Mysł sama upadła w zaczątku.“

Wreszcie i „zarząd Towarzystwa stara się o zmniejszenie, jeżeli nie o całkowite pominięcie projektowanego tunelu pod Podlesną Wolą w miechowskiem, dla oszczędzenia kosztów w tym razie obliczonych na 700,000 rs. W tym celu na owe miejsce Towarzystwo delegowało komisję, ostateczna jednak decyzja zawisła jest od władz wyższych.“

W perspektywie prowincjonalnej dostrzegamy dalej proces kryminalny z sali sądowej łomżyńskiej (9 września), kilka szczegółów dotyczących bytu włóścian i głośną sprawę włóścian powiatu konstantynowskiego na Wołyniu, którą w tych dniach rozstrzygał sąd okręgowy żytomierski.

Pisarz gimnazjum łomżyńskiego podsuszał dyrektorowi do podpisu listę płacy dla stróżów z powiększoną pensją o dziesiątki rubli. Pisząc talon i asygnację na wydatki gospodarskie zostawił miejscę przed wyrazem „sto“ i podpisane dokumenty fałszował dopisując „tri“, skąd powstawało „trista“. Te ostatnią sumę podnosił z kasy. Zajmował się przytem filantropią, pomagając młodzieży do ukończenia klas czterech czy sześciu za pomocą świadectw fabrykowanych na kolanie.

Na brzegu jednak utonął, przepływający długie morze oszustw i płynącego z nich bogacenia się. Oto wykradł oselkę „z łaciny“, na której miały się przy egzaminie 1878 r. tępić czy ostrzyć głowy — uczniów. Uczniowie korzystali z usług pisarza i zostali schwytani na gorącym uczynku, a pisarz — zdemaskowany. Sąd skazał go za nadużycia w urzędowaniu, za pozabawieniem praw, na osiedlenie w gubernii tomskiej.

Z życia ludu tym razem zbieg dwu wiadomości pomyślnych. W Płocku 24 września otworzono pierwszą gospodę chrześcijańską. W miechowskiem włóścianie wsi Witowiec odłączyli się od szkoły w Gołczy i postanowili założyć wspólnym kosztem nową. Jeden z zamożniejszych ofiarował na ten cel swój dom, lecz gdy ten okazał się za szczupły, postanowiono wybudować nowy, obszerny. Korespondent *Gazety Świątecznej*, który o tym fakcie donosi, przypomina, że istnieje przez prawowinstanowiony urząd *nadzorczy szkolnego*, którego wybór zależy od włóścian.

„Fil.. quelles détestables figures!“ woła z oburzeniem p. B. brunet średniego wzrostu poczuwszy swym arystokratycznym nosem zapach tytoniu palonego przez potomków chłama (czytamy to w korespondencji do *Nowin* z Mińska pod wpływem wrażeń doznanych w wagonie). Jakże zarząd drogi — ciągnął dalej nasz brunet — może pakować nas z takim bydlętem, ps...kr..., z przepraszaniem! Za granicą na wszystkich drogach są osobne wagony dla takich stworzeń(?)“

PP. B. i F. zjawiają się po raz drugi w wagonie, już nie sami, ale w towarzystwie konduktora. Dla zabezpieczenia pp. B. i F. od wszelkich niearystokratycznych zapachów za najlepszy środek uznano „wypędzenie bydła.“

Tym sposobem wyrzucono z wagonu kolei Moskiewsko-Brzeskiej kilku robotników.

Zbliżeniu się „inteligencji“ do ludu — stało się w tym wypadku zadość!...

Na ławie oskarżonych w Żytomierzu zasiadło 207 włóścian ze Swiny oskarżonych o odebranie księdzu kluczy od cerkwi i sprzeciwianie się władzy.

Niedziela tak opisuje sprawę: Miejscowy Paroch Sawicki obchodził się z parafianami w sposób grubiański i wyzyskiwał po barbarzyńsku. Za wydanie metryki przy ślubie

brał po 3 rs. i kilka dni robocizny. Potrzebując 80 rubli na zbudowanie marowanej piwnicy, skłaniał włościan do wydania mu tych pieniędzy z sum cerkiewnych, a kiedy włościanie się nie zgadzali — zamknął zgromadzonych na nabożeństwo i przetrzymał w cerkwi od rana do wieczora. Włościanie znosili do czasu to jarmo, ale i w tych niewolniczych do niedawnaduszach brakło cierpliwości. Kiedy Sawicki zażądał, żeby się zapisywali do wielkanocnej spowiedzi i składali datki u niego w mieszkaniu zamiast w cerkwi, odebrał odpowiedź odmowną. Wówczas rzekł „spalcie cerkiew, kiedy tak.“ Oburzeni włościanie odebrali od starosty klucze i postanowili nie oddawać, dopóki Sawickiego nie zastąpi inny paroch. Wdanie się powiatowej władzy nie przyniosło pożądanych przez nią i księdza skutków. Włościanie za bunt przeciw kościelnej i świeckiej władzy zasiedli na ławie oskarżonych. Po upływie półtora roku od wypadku, 25 sierpnia (s.s.) stanęło przed sądem 207 włościan, ponieważ z liczby 212 pięciu w tym czasie umarło. Sawicki przeniesiony do innej parafii przed kratkami nie stanął „z powodu choroby żony“, a świadek, sprawnik — z powodu choroby własnej. Prokurator żądał uwięzienia oskarżonych na 4 miesiące. Sąd, po czterogodzinnej naradzie podsądnych, jak należało, uwolnił.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 września.

Spotkanie dwu monarchów w Gdańsku, które naprzód przeraziło Europę, jako niespodzianka, później zaciekawiło, jako tajemnica, dotąd jeszcze wplata swe nici w pasmo dociekań dziennikarskich. Do gasnącego ognia dołał oliwy dziennik węgierski *Egyetertes*, który ogłosił niewiadomą ręką dlań skradzione a zupełnie wiarogodne depesze o przedmiocie monarszych narad. Właściwie nie treść tych depech, która jest dość ogólnikowa, ale ich źródło, dotąd niewykryte, głównie zaintrygowało wszystkich. Mówią one bowiem tylko o pokojowych zaręczynach cesarzów i o ich współdziałaniu przeciwko żywiołom rewolucyjnym. Jakkolwiek sam zjazd gdański był istotnie ze strony formalnej faktem nieprzewidzianym, powinien on być oszczędzić zdumienia każdemu, kogo zapowiedzi o zmianie polityki rosyjskiej i jej skierowaniu się na drogę wyłącznie słowiańską nie uwiódł. Polityka państwa nie jest jaskółką, łamiącą cochwila linię swego biegu, ale ciężką lokomotywą, która musi dobieść do swej zwrotnicy, ażeby się mogła zwrócić lub przejść na inne relsy. W życiu zaś Rosyi tradycje przyjacielskie dla Niemiec są tak głęboko zakorzenione, interesy obu państw posiadają tyle węzłów wspólnych, że nowe stwierdzenie tego faktu było wypadkiem naturalnym, którego nawet odmienny, chwilowy prąd powstrzymać nie zdołał. Przyjaźń owa jest dotąd dogmatem politycznym, o którym niewierni czasem wątpią, ale którego kult dyplomatyczny dotąd nie usunął. Ochłonawszy więc z wrażeń niespodzianki, przyznajmy faktowi zupełną naturalność.

Zjazd gdański miał jeszcze inny skutek: wpłynął na zbliżenie się Anglii z Francją, dotąd wyrażone w postępie narad nad traktatem handlowym. Tymczasem przyjaźń poprzestała na takiej formie a może przybierze ściślejszą, jeżeli starcie interesów anglo-francuskich w Afryce jej nie uduśsi. Jeśli wszakże fortuna nie zatoczy swego koła na korzyść francuzów, niewiele podobno zrobią oni szkody komukolwiek w Tunisie. Dotychczas tylko coraz bardziej

brną w kłopoty, osładzane drobniutkimi tryumfami, niegodnymi chorągwi wielkiego mocarstwa. Wątpliwości nie ulega, że cała wyprawa do Afryki była pomysłem niefortunnym a jej wykonanie nosi na sobie jeszcze ślady tej nieudolności wojskowej, której wymowne dowody złożyli francuzi w r. 1870. Trudno też nie podzielać oskarżeń skrajnej lewicy, pociągającej rząd do odpowiedzialności i żądającej zwolnienia izb. Tymczasem hr. Moltke się śmieje a ks. Bismark kiwa wzgardliwie głową.

W Afganistanie znowu zamąciła się woda, w której Anglia ryby łowić zaczyna. Emir pobił Ejuba-chana i usiłuje zawładnąć rokoszem. Trudno przewidzieć, czy i o ile mu się to uda. Z tyłu stron podpalany i tak burzliwe żywioły zawierający kociołek afganistański może znowu wrzeć i kipieć zaczyna, jeżeli John Bull ognia pod nim nie przygasi.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, pochowawszy zmarłego i upewniwszy, że będzie się trzymał w swej polityce zatkniętej przez niego krawędzi, rozpoczął już prolog swej komedii, którą, jeśli prawdopodobieństwo nie myli, z powodzeniem odegra. Arthur odmalowany został w prasie europejskiej jako wódz żywiołów moralnie zepsutych, jego więc gospodarstwo nie zapowiada Ameryce rozkosznej przyszłości.

Chwila obecna jest dla Rosyi dobą energicznej roboty. Na innem miejscu mówimy o prawach wyjątkowych przeciw rewolucjonistom; nadto wprowadzono dla ostatecznego rozstrzygnięcia sprawę wykupu gruntów włościańskich, kwestyę przesiedlenia się włościan i — opilstwo. Nad tem ostatniem mają obradować także biegli z Królestwa powołani. Pragnęlibyśmy, ażeby podjęli tę rolę z dostatecznem przygotowaniem.

T.

WÓŁ PYTAGORASA I PRAWDA.

Amicus Plato sed magis amica veritas. W przekonaniu, że Redakcyja Prawdy tą zasadą się rządzi, do niej się zwracamy z prośbą o wydrukowanie poniższego artykułu.

„Archimedes zdobywszy swą wielką prawdę, poświęcił podobno hekatombę na ofiarę bogom. Od owej chwili — twierdzi Börne — woły obawiają się każdej nowej prawdy.“ Tak mówi pan Finkelhaus w swoim „Projekcie banku państwowego dla ubezpieczenia rozchodów“ pomieszczonym w NNr. 30 i 31 *Prawdy* i na tej właśnie podstawie obawia się, że projekt jego nie prędko może przyoblecze się w ciało. Projektodawca więc śmiało twierdzi, że pomysł jego jest *prawdą* i do tego *nową*. Czy tak jest rzeczywiście — pomówimy o tem dalej. Tymczasem pozwolimy sobie tylko zapewnić p. Finkelhaus, że Börne nie był tyle co on złośliwym i rozrzutności, jakiej się dopuścił Pytagoras, nie przypisywał Archimedesowi. A teraz wróćmy do rzeczy głównej.

Wspomnianą wyżej obawą, jaka dręczy woły przy pojawieniu się na świat każdej nowej prawdy, p. F. objaśnia sobie ten fakt, „dlaczego każdy, dbający o rzeczywistnienie swej idei, odszukuje dla niej antenatów choćby w klasycznych Atenach lub Sparcie,“ a następnie ubolewa nad tem, że jemu „trudno jest zacząć w pomroce dziejowej o instytucję pokrewną projektowanej.“ A pocóż było poczynąć sobie tak uczenie? Jeżeli pomroka dziejowa, okrywająca handlowe i ekonomiczne instytucje starożytności, nie jest dla p. F. nieprzejrzanie ciemna, to mógł on wiedzieć bez żadnych poszukiwań, że nie znajdzie w niej antenata dla swego pomysłu. Za mało na

to była jeszcze rozwinięta w owych czasach idea kredytu i jej materyalne organy. Myli się jednak p. F., gdy przypuszcza, że w średnich wiekach mnożenie pieniędzy za pomocą procentów składanych uważano za kłamstwo. I średnie wieki i starożytność nawet, znały potęgę procentów składanych, ale znały zarazem ich ciężar i niebezpieczeństwo dla dłużnika; dla tego właśnie starożytni albo zakazywali ich pobierać zupełnie, albo też tylko ograniczali prawo ich pobierania do wysokości *alterum tantum*. W nowszych czasach florenckie prawo z roku 1693 zakazywało doliczania składanych procentów dłużej nad lat 7, bez wyraźnej nowej umowy¹⁾. Potrzeba wydania takiego prawa wskazuje, że obliczanie procentów składanych musiało się praktykować już daleko dawniej i że ciężar ich potężnie przygniatał dłużników; „mnożenie więc pieniędzy za pomocą procentów składanych“ musiało nie być nieznane i w średnich wiekach i nie mogłoby być uważane za kłamstwo.

Gdyby p. F. zamiast błądzić omackiem w pomroce dziejowej, był tylko za bytności swej w Paryżu nie zamykał umyślnie oczu na rzeczy, których widzieć nie chciał, byłby napewno czy to przy świetle słońca, czy lamp elektrycznych na Avenue de l'Opéra pod nr. 8 spostrzegł na rzucających się przez swą pstrocinę w oczy szyldach „Société anonyme des coupons commerciaux“ wypisane wielkimi literami rady: *N'achetez rien sans reclamer de vos fournisseurs des coupons commerciaux, remboursement gratuit assuré de toutes vos dépenses*. Inne szyldy większymi jeszcze literami głoszą krótko, ale jasno i zrozumiale: *Remboursement des dépenses et restitution des capitaux*.

Pan F. mieszkał podobno kilka miesięcy w Paryżu w czasie wystawy t. j. właśnie wtedy, gdy Towarzystwo kupców działalność swoją dopiero rozpoczynało²⁾ (pierwotnie jako filia londyńskiego towarzystwa „The General Expenditure Assurance Company“) i najsilniej się reklamowało. Obecnie znowu autor *Projektu B. P. dla U. R.* bawił w stolicy Francji przez 6 tygodni, i rzecz dziwna! — pomimo że wspomniane wyżej towarzystwo za pośrednictwem posłańców i kupców rozrzuca na wszystkie strony Paryża dziesiątki tysięcy ogłoszeń, taryf, broszur i reklam, pomimo że nad wszystkimi sklepami, wydającymi swym klientom „kupony handlowe“³⁾, jest umieszczona pstra marka Towarzystwa, opatrzona jego firmą, pomimo to, nareszcie, że niema zapewne w Paryżu ani jednego mieszkańca, któryby o istnieniu „Towarzystwa K. H.“ i jego celu nie wiedział, pomimo to wszystko, powtarzam raz jeszcze, p. F. zdołał się przez 6 tygodni uchronić od powzięcia wiadomości o antenacie swego projektu, wiadomości, która właśnie dla niego tak była pożądana, że jej aż w pomroce dziejów mężnie poszukiwał!

Niemniej dziwna jest rzecz, że p. F., będąc w Londynie, nie dowiedział się nic o istnieniu „Ogólnego Towarzystwa Ubezpieczenia rozchodów“ (*The General Expenditure Assurance Company*). Towarzystwo to istnieje już od lat 6-ciu, reklamuje się potężnie na angielski sposób, cieszy się daleko większem powodzeniem, niż paryskie,

¹⁾ Patrz u Roschera, *Die Grundlagen der Nationalökonomie. Dritte Auflage*, str. 383.

²⁾ Już od r. 1868 istnieje w Paryżu drugie podobne towarzystwo „L'assurance financière“, którego dyrektor, p. J. Blanchet, jest właściwym autorem pomysłu t. zw. ubezpieczenia rozchodów; lecz pomimo to, że finansowo stoi ono lepiej od Tow. K. H., wśród ogółu jest mniej znane, niż towarzystwo dla ub. rozch., ponieważ mniej się ono reklamuje i ponieważ sprzedawanie kuponów kupcom stanowi gałąź podrzędną jego operacji finansowych.

³⁾ Jest takich sklepów w Paryżu podług wykazu Towarzystwa przeszło 1,200.

a jednak p. F., który (jak to wnosić można z jego korespondencji) mieszkał w Londynie dość długo, zwiedził wszystkie ważniejsze instytucje tego miasta — filantropijne, naukowe, handlowe, przemysłowe, sądowe i polityczne, — o wspomnianem Towarzystwie, o owym antenacie przyszłego swego projektu nie a nie nie słyszał. Gdyby temu można było uwierzyć, to p. F. przypominałby mocno owego bohatera bajki Kryłowa, który zwiedzając gabinet zoologiczny wszystko widział, obejrzał i zapamiętał tylko słonia nie zauważył.

Ale nie dość na tem. P. F. miał jeszcze jedną drogę do poznajomienia się z pierwowzorem swego umysłowego plodu — drogę naukową. Kwestya towarzystw dla ubezpieczenia rozchodów była w swoim czasie (między r. 1875 a 78) za granicą głośna. Wszystkie pisma poświęcone ekonomii obszernie nad nią debatowały. W Niemczech apostołował dla niej w r. 1876 i 7. Dr. Wilhelm Löwenthal, popularyzując ją naprzód drogą dziennikarską za pośrednictwem *Vossische Zeitung*, a następnie przy pomocy dwukrotnie wydanej broszury pod tytułem: *Die Ausgaben-Versicherung. Einer der mächtigsten Hebel zur Einführung des Baarverkehrs und Förderung des allgemeinen Wohlstandes.* Berlin, 1877. P. F. podobno zajmuje się ekonomią, często z góry w jej imieniu przemawia, a utrzymuje, że nie wiedział nic o tak głośnej ekonomicznej kwestyi. Gdyby p. F. czytywał pisma ekonomiczne, musiałby się i dzisiaj jeszcze nieraz spotkać z wzmianką o „niebezpiecznej utopii robenia oszczędności za pomocą rozchodów“ (l'utopie dangereuse de l'épargne par la dépense), której nigdy ekonomiści nie pomijają, ile razy mówią o instytucjach, mających na celu oszczędność, a która musiałaby być naprowadzić p. F. na ślad antenata jego projektu.

Tak więc p. Finkelhaus odkrył Amerykę w cztery wieki po Kolumbie.

Czy tylko odkrył? Sceptyczni ludzie zazwyczaj takim spóźnionym odkryciom nie dowierzają. Nuż kto teraz posądzi p. F., że projekt swój... zapożyczył? Ja jednak do sceptyków nie należę i od tak niegodnego posądzenia daleki jestem. Podziwiam tylko rzadką jedność myśli i podobieństwo wyrażen autoru Projektu B. P. i redaktora reklamy Towarzystwa Kup. Handl.; podziwiam jeszcze więcej niesłychanie dziwną zaprawę tożsamość układu wspomnianych dwu elaboratów. Takie nadzwyczajne podobieństwo przejawów działalności mózgowej u dwu osobników, należących do dwu różnych narodowości i piszących o rzeczy zupełnie nowej, oryginalnie przez każdego z nich zosobna pomyslanej, przedstawia fakt tak rzadki i ciekawy, że doprawdy godzien on jest zwrócić na siebie uwagę, jeżeli już nie całego ogółu, to przynajmniej ludzi, lubiących się zajmować psychologicznymi studjami. Dla ułatwienia właśnie tym ostatnim studyów nad wspomnianym faktem przytaczam tutaj w dosłownem tłumaczeniu tekst reklamy Tow. Kup. Handl. i zestawiam go z projektem p. F.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Warszawie wyznaczona została specjalna komisya do zbadania domów pod względem wewnętrznego ich utrzymania.

¹⁾ P. np. *Journal des économistes* z mies. lipca, r. b. str. 15.

— Ministerium spraw wewnętrznych przedsięwzięło gruntowną reformę systematu wydawania przywilejów na odkrycia i wynalazki.

— 50,000 rubli ofiarowała pewna dobroczynna osoba na rzecz polepszenia losu szwaczek; ofara ta jest w związku z projektem założenia dla nich pracowni.

— Przygotowany już został projekt zmiany sposobu pobierania podatków od włościan i mieszczan oraz nowa ustawa pasportowa.

— W sferach wyższych rządowych zdecydowano już podwyższenie płacy lekarzy wojskowych.

Nauki. W Londynie odbył się kongres filologiczny, zebrany w celu poznania stosunku języków słowiańskich do główniejszych germańskich i romańskich i odnalezienia związku pomiędzy temi grupami.

— Według obliczeń Bilinusa, ogólna liczba lekarzy na kuli ziemskiej wynosi 180,000; z nich 11,600 zajmuje się nauką i literatura. Najwięcej lekarzy jest w Stanach Zjednoczonych, bo 65,000; dalej w Anglii 35,000, w Niemczech i Austrii 32,000, we Francyi 26,000, we Włoszech 10,000. Dziel medycznych wychodzi rocznie około 1,000 tomów i około 1,600 broszur. W r. 1879 wychodziło 655 czasopism medycznych; z tego w Ameryce 15, w Niemczech 129, we Francyi 122, we Włoszech 65, w Anglii 54.

— Członek rosyjskiego Towarzystwa archeologicznego p. Kelsiew, czyniąc poszukiwania archeologiczne w pobliżu Woroneża, odkrył bardzo ważne wykopaliska. W powiecie woroneżskim leży wieś Kostienki, obfitująca w mnóstwo kości zwierząt. Dwa lata temu p. Polakow stwierdził, że były to kości mamuta, przyczem napotkał ślady człowieka przedhistorycznego. Świeżo delegowany przez rosyjskie muzeum starożytności w Moskwie w głębokości 2½ arszyna pod grubą warstwą czarnoziemu, w glinie napotkał warstwę, zawierającą mnóstwo pozostałości kłów, zębów i innych kości mamuta, a dalej ślady popiołu węgla, kości przepalonych, noże krzemienne i łopaty bardzo pierwotnej formy. Przedmiotów tych całych i połamanych wydobyto dotąd sztuk 480.

— Posiedzenia kongresu międzynarodowego archeologicznego w Tyfście otwarte zostały przez księcia Melikowa. Prezesem głównym obrany został Komarow. Obecnych 50 delegowanych, pomiędzy nimi Virchow i Kostmarow. Jednocześnie otwarto Muzeum kaukaskie, odznaczające się wielkiem bogactwem zbiorów.

— Szwajcar Juvet, zamieszkały w Ameryce, wynalazł nowy przyrząd naukowy, nazwany zegarem geograficznym, składający się z globusu, zawierającego mechanizm zegarowy, który to globus obraca się na około swej osi w ciągu 24 godzin. Zrobiony on jest z pewnej mieszaniny metalowej; przymocowany w położeniu pochylem do postumentu z brązu. W jednym z biegunów ziemi mieści się mechanizm, drugi północny zaopatrzony w cyferblat szklanny. Równik obwiedziony jest obręczą, na której oznaczone są godziny dnia i nocy i która służy za cyferblat dla ziemi. Przeprowadziwszy linię prostą od jednego z biegunów do równika, można oznaczyć czas każdej miejscowości, a zarazem wiedzieć gdzie poranek, dzień, wieczór i noc. Globus pokazuje nader wyraźnie obroty ziemi i położenie jej względem słońca.

— W Berlinie odbył się piąty kongres orientalistów pod przewodnictwem profesora Dillmana. Głównym jego celem jest zbliżenie do siebie wzajemne uczonych zajmujących się małoznanymi narodami wschodu i wzajemna wymiana wiadomości, mogących mieć znaczenie praktyczne w stosunkach dyplomatycznych i handlowych.

Szkoły i uniwersytety. W Niżnim Nowgorodzie odbył się zjazd miejscowy nauczycieli i nauczycielek ludowych.

Przemysł, handel i komunikacye. Zarząd kolei konnych warszawskich składają pp.: prezes Władysław Kiślanski, dyrektor inżynier Dubeltowicz, naczelnik ruchu Józef Naimski, naczelnik wagonów Beczkowicz, weterynarz Romuald Sobolewski.

— Towarzystwo warszawskiej fabryki wyrobów metalowych pod nazwą *Wulkan* objęło już na własność fabrykę takichże wyrobów pod firmą „Karola Mintera.

Roinictwo i ogrodnictwo. Na wystawie ogrodniczej w Warszawie, która wypadła bardzo świetnie, oprócz oddziału warzyw, drzew i owoców, urządzono także specjalny oddział narzędzi ogrodniczych. Nadesłano także piękne plany urządzeń ogrodów i parków. Ogród i sala Doliny Szwajcarskiej mieszczące wystawę zostały przybrane wspaniale.

— W gubernii twerskiej i orłowskiej pojawił się nowy robak, rządzący wielkie spustoszenia w polach przez podgryzanie korzeni roślin.

Sztuki piękne. Pomnik Gogola postawiony został na skwerze miejskim w Nieżynie.

Literatura niemiecka. *Briefe ueber die gegenwärtige Lage Russlands.*

— Katscher. *Bilder aus dem Min-sischen Leben.*

— Meyer. *Geschichte des Landes Posen.*

— Deecke. *Etruskische Forschungen und Studien.*

— Bauer. *Themistokles*, studium zur griechischen Historiographie.

Literatura francuska. *Archives de la Bastille*, documents inédits.

— Dela Jonquières. *Histoire de l'empire Ottoman depuis les origines jusqu'à traité de Berlin.*

— Lenormant. *Grande Grèce*, paysage et histoire.

— Roller. *Les catacombes de Rome*, histoire de l'art et des croyances religieuses pendant les premiers siècles du christianisme.

— Youferson. *Etudes ethnographiques sur les bachkirs.*

Teatr. Nowe towarzystwo dramatyczne pod dyktandą pp. Teksli i Kalicińskiego rozpoczęło już szereg przedstawień w Częstochowie.

— Pan Wołoszko, tenor liryczny, zamówiony został na tegoroczny sezon opery warszawskiej.

— Catalani, autor nowej opery *Elda*, przybył do Warszawy dla kierowania wystawieniem swego utworu.

— Dyktandą featrów warszawskich przyjęła do grania dwie komedjki: *Złotego cielca* Dobrzańskiego i *Gałązkę jaśminu* Przybylskiego.

— Po raz pierwszy przedstawiono w Warszawie w Nowym teatrze farsę pp. Delacour i Hennequin *Proces Veauradieux*.

— Towarzystwo dramatyczne p. Doroszyńskiego wyjeżdża w tym roku odrazu do Poznania.

Nekrologia. Jakób Abraham Garfield, urodzony dnia 1831 r. w Orange, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej od dnia 4 marca r. b., zmarł 19 września w skutek ran zadanych przez mordercę Gulteau.

OGŁOSZENIA.

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedać jej nie możemy.

WYDAWCA

HISTORIA FILOZOFII

MATERYALISTYCZNEJ

F. A. LANGEGO

zawładnia, że wszystkim abonentom tego dzieła, którzy je wprost u niego lub w Redakcyi tygodnika „PRAWDY“ zaprenumerowali, wysłał we właściwych terminach wszystkie ośm wyszłych dotąd zeszytów. Ponieważ ostatnie dwa zeszyty opuszczają prasę w końcu października b. r., uprasza zatem, aby panowie abonenci prowincjonalni, gdyby którego z zeszytów nie otrzymali, zawiadomienie o tem nadesłali pod adresem:

Bernard Lesman

Orla Nr. 2.

W WARSZAWIE.

a do ostatnich, brakujące zeszyty dołączone będą.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.